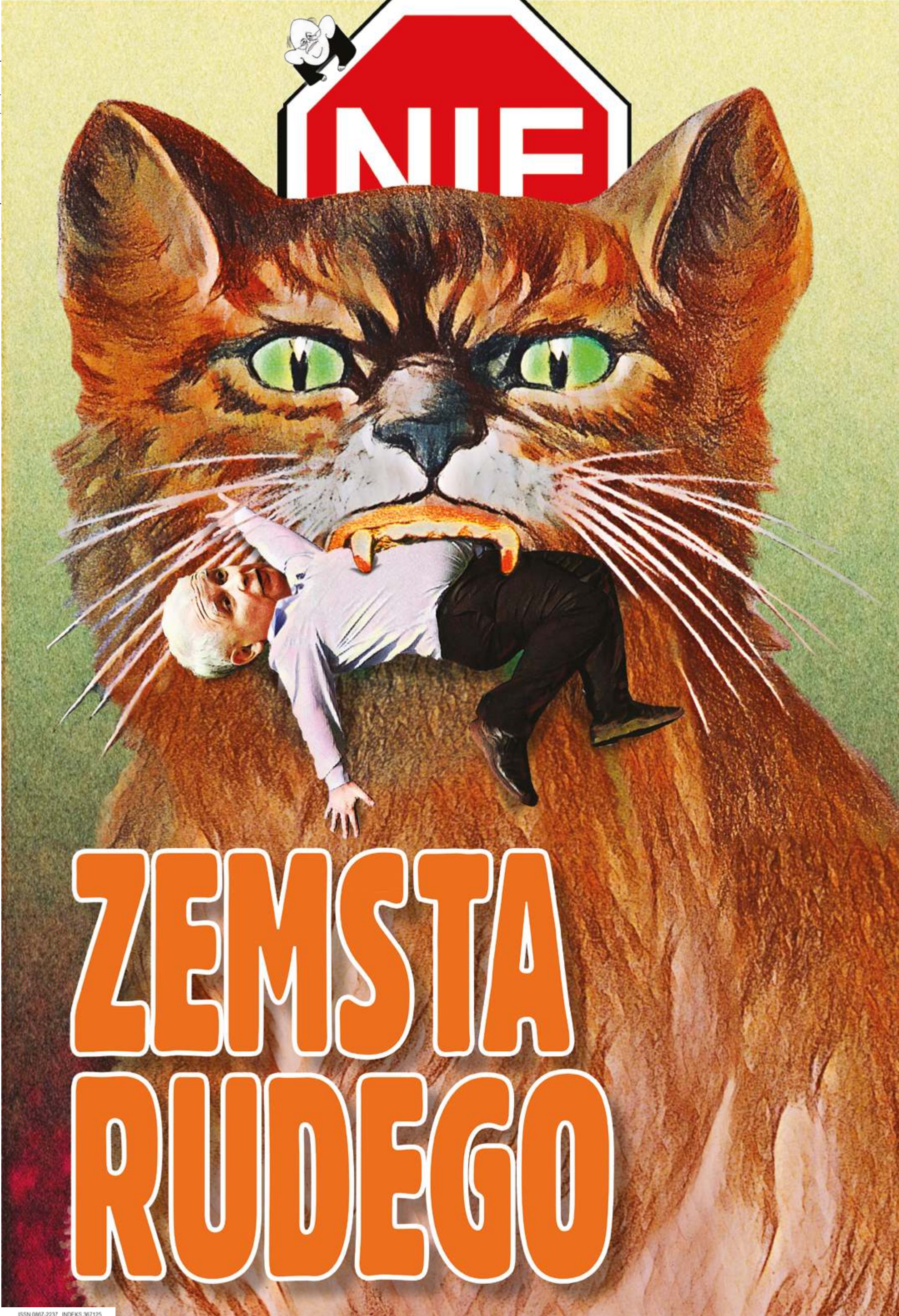


Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 42 (1726) 20–26 października 2023



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ZEMSTA RUDEGO



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE Tygodnik NIE

RĄBANKA POWYBORCZA

♦ Koniec z sondażami, nadeszła chwila prawdy. Prawo i Sprawiedliwość 35,38 proc. i 194 mandaty; Koalicja Obywatelska 30,7 proc. i 157; Trzecia Droga 14,4 proc. i 65; Lewica 8,61 proc. i 26; Konfederacja 7,16 proc. i 18 miejsc w sejmie. Bezpartyjni Samorządowcy, których dotychczas konsekwentnie ignorowaliśmy, udowodnili, że mieliśmy rację, i dostali 1,86 proc., a Polska Jest Jedna – 1,63 proc. Oba te ugrupowania nie przekroczyły nawet progu finansowania. Opozycja razem ma 248 mandatów, a PiS z Konfederacją zaledwie 212, czyli i tak za mało, żeby coś skłębic, a do tego Konfederacja jest sfrustrowana i obiecuje siedzieć na przychaci i napierdalać wszystkich po równo siłą swojej błyskotliwości.

♦ Wszyscy są bardzo podnieceni, bo frekwencja wyniosła 74,38 proc. i była najwyższa w historii III RP, łącznie z 4 czerwca 1989. Dotychczas tylko dwa razy w jakikolwiek wyborach zbliżyła się do 70 proc. – i było to w 1995 r., kiedy Wałęsa w drugiej turze przegrał z Kwaśniewskim oraz w 2020 r., kiedy Duda wygrał z Trzaskowskim. Nasza teza jest taka, że jak ludzie zobaczyli kolejki, to ulegli kompulsywnemu potrzebie stanięcia, która jest naszą polską cechą narodową (widzieliście, co się dzieje na lotniskach, kiedy ogłaszają otwarcie geitu?). Niektórzy stali w tych kolejkach do trzeciej w nocy, choć wybory w zasadzie skończyły się o dwudziestej pierwszej. Prezydent Duda bardzo wszystkim podziękował za frekwencję. Oni nie stali tam dla pana, panie prezydencie.

♦ Po podziękowaniach prezydent zamilkł i teraz wszyscy czekają z napięciem, co powie. Istnieje supozycja, że powierzy misję formowania rządu Mateuszowi Morawieckiemu, który tego rządu nie uformuje, bo nie ma z kogo, ale w ten sposób PiS zyska dodatkowy miesiąc u władzy. Pomijając już to, jak wielu zasłużonych (i stosownie wynagradzanych) działaczy Prawa i Sprawiedliwości dostanie dzięki temu jedną pensję więcej, wiecie, ile papierów można wsadzić do niszcarki przez 30 dni? Albo ile interesów ukrecić? Donald Tusk wie, toteż zmienia ton. Na tle sielskiego obrazka, w zieleni i szmerzącą za plecami rzeką, szef PO przemawiał z ciepłym uśmiechem: „Zwracam się z gorącym apelem do pana prezydenta: ludzie czekają na pierwsze decyzje, które będą konsekwencją tych wyborów, także prosilibym bardzo pana prezydenta o energiczne i szybkie decyzje”...

♦ Trzecia Droga, która zrobiła nadszpiegowanie dobry wynik i jest trzecią siłą w sejmie, czuje się wreszcie doceniana. Wszyscy ją chcą. Na pytanie, czy PiS jest gotów na rozmowy z Kosiniakiem-Kamyszem, Morawiecki odpowiada „oczywiście”, a komentariat sądzi, że nawet za koszt oddania liderowi PSL stanowiska premiera. Kosiniak od PiS-u tej roboty nie weźmie, ale od Platformy by mógł – tak przynajmniej sugeruje Teofil Bartoszewski. Umocniony w swoim dobrym samopoczuciu szef ludowców pytany o liberalizację prawa aborcyjnego ogłosił, że „nie zgodzi się na wpisanie jakichkolwiek spraw światopoglądowych do umów koalicyjnych”. „Na takiej samej podstawie, jak sprawy rolników czy co tam chcesz do umowy zgłosić” – odcięła się mistrzyni ciętej riposty Anna Maria Żukowska. To jednakowoż nie to samo. Kosiniak jest przeciw aborcji. Czy to znaczy, że Anna Maria jest przeciw rolnikom?

♦ Obserwatorzy Zgromadzenia Parlamentarnego OECD opublikowali raport z polskich wyborów, z którego wynika, że PiS podważył demokratyczny rozdział państwa i partii, wykorzystując w kampanii majątek państwowych firm i publiczną telewizję do partyjnych celów. Poseł Piotr Kaleta z PiS odpowiada w duchu „Państwo to my”: „Ten raport jest bezsensowny. No bo na miły Bóg, kto miał mieć kontrolę nad spółkami Skarbu Państwa, kto miał mieć kontrolę chociażby nad Telewizją Polską, jeżeli nie właśnie ta formacja, która sprawuje władzę?”. A skoro już jesteśmy przy władcach absolutnych: „Czy pan się nie obawia, że straci pan władzę?” – zapytał TVN Kaczyńskiego w ostatnim dniu kampanii. „Kiedy, za 40 lat? To już nie będę żył” – odpowiedział pogodnie Kaczyński. Myślicie, że to działa w obie strony? Znaczący straci władzę, jak nie będzie żył, czyli nie będzie żył, jak straci władzę?

♦ Skoro już jesteśmy przy traceniu władzy: Włodzimierz Czarzasty, lider listy Lewicy w Sosnowcu, o mały włos nie stracił mandatu na rzecz startującego z ostatniego miejsca lokalnego radnego Łukasza Litewki. Litewka wyróżnił się bannerami, na których obok własnego wizerunku umieścił zdjęcia psów do adopcji. Dostał ponad 40 tys. głosów – i w efekcie adoptował i Czarzastego, który załapał się na drugi mandat. Pytany o wynik Lewicy i swój własny, Czarzasty orzekł: „Zrobiliśmy wszystko co, co mogliśmy zrobić”. Na sugestię, że tak naprawdę zrobiły to kobiety, szef sztabu i partii odparł: „Tak, to prawda, ale muszę przyznać, żeśmy bardzo mocno, specjalnie – bo to była decyzja sztabu i kierownictwa partii – eksponowali panie”. Widzicie? Może „za sukcesem każdej kobiety stoi mężczyzna”, ale za sukcesem każdej kobiety stoi Czarzasty.

♦ A propos: Janusz Korwin-Mikke nie dostał się do sejmu z pierwszego miejsca w obwarunkach podwarszawskim. Przegrał z żoną Krzysztofa Bosaka Kariną. Przyjął to jak mężczyznę: „Żona powiedziała mi dziś, że słyszała od kogoś, że wielce czcigodny Krzysztof Bosak ma do mnie pretensje, że rzekomo obraziłem jego żonę. Kategorycznie zaprzeczam takim absurdalnym plotkom” – ogłosił na platformie X, dodając, że o starej Bosakowej w zasadzie nie mówił, poza tym, że „jest żywym dowodem, że kobiety nie powinny mieć prawa głosu”. „W niczym p. Kariny nie obrazałem, jeśli czuje się czymś urażona, to przepraszam. Już prędzej można mnie ścigać za posądzenie, że chcę robić polską kaszanke na krwi żydowskich niemowląt niż że obrażam kobiety, a zwłaszcza ją” – zakończył Korwin swoje przeprosiny. Wiecie co? Będzie nam go jakoś brakowało.

Z URNY URBANA

Dziś, kiedy uwagę publiczną zaprzątają rozważania, jak zachowa się prezydent Duda po wyborach, warto przypomnieć rozważania Urbana z końca 1994 r., w których próbuje przewidzieć, jak zachowa się ówczesny prezydent Lech Wałęsa oraz jego przyszły kontrkandydat w nadchodzących wówczas wyborach prezydenckich 1995 r.

Smród w próżni

Wałęsa robi w państwie jak największe zamieszanie, gryząc się ze wszystkimi innymi władzami. Narobiwszy bałaganu, powie, że tylko on może to wszystko uporządkować, więc trzeba go powtórnie wybrać i obdarzyć w konstytucji jak najliczniejszymi kompetencjami.

Wiadomo, że Pałac Namiestnikowski już spiskuje z myślą o marcu lub kwietniu. Dwór Wałęsy zlecił generałom obu obozów tworzenie pretekstów do prezydenckiego weta wobec budżetu. Gdy go sejm w przyszłym roku uchwali, Wałęsa oznajmi, że za mało dano na wojsko, policję, a także na osłonę socjalną. Zawetowany budżet uzna za nieuchwalony, więc dający po pewnym czasie prawo do rozwiązania parlamentu. W ten sposób przed wyborami prezydenckimi Wałęsa złapałby pełnię władzy i wykorzystał ją, żeby wybrać się na prezydenta.

Rozważana jest też możliwość doprowadzenia struktur państwa do takiego rozkładu, żeby dawał on uzasadnienie wojskowemu, Wałęsowemu zamachowi stanu. W trosce o spokój w Europie Wschodniej Zachód uznałby takie fakty dokonane. Czy jednak Wałęsa zdołałby siłą chwycić władzę – jak lękają się w Unii Wolności – nie mając oparcia w społeczeństwie i w żadnej partii, lecz tylko u kilku swoich przybocznych generałów? Mocno w to wątpię. Wałęsa bawi się ołowianymi żołnierzami, ale ma ich tylko pół pudełka.

Pałac Namiestnikowski, dawniej Belweder, szykuje Olechowskiego jako dodatkowego kandydata na prezydenta. Ma on rozbić głosy w pierwszej turze, umożliwiając Wałęsie prze-

ście do drugiej. Gdyby to Olechowski znalazł się w drugiej turze, a nie Wałęsa, otoczenie Wałęsy ma nadzieję, że jako prezydent ocali klikę belwiderską, z imperium Wachowskiego i interesami Kozakiewicza włącznie.

Polska nie ma spójnego rządu i Pawlak nie stoi na jego czele. Gabinet jest zbiorem facetów, którzy, każdy z osobna, gimnastykują się na swojej działce, uprawiając politykę własną lub też zależną od Wachowskiego albo partii, do której minister należy. Pawlak nie stara się zebrać tego do kupy w spójną całość, za to wyzyskuje odrębną władzę, jaką ma premier, niezależną od zespołu ministrów, któremu nieudolnie przewodzi. Pawlak nie mówi, czego chce, a jeśli wygłasza te swoje gładkie ogólniki, to robi co innego, niż głosi. Przykładem prywatyzacja. I tu nawet rzecz nie w tym, żeby premier nie miał racji, traktując nieufnie program Lewandowskiego. On tak tai swoje rzeczywiste zamiary, że nie wiadomo, czego chce. Być może sam tego nie wie, a nie ma nikogo, kto by mu to odpowiedział, kiedy Strąka boli gardło.

Kwaśniewskiego już nikt nie nazywa premierem bis, tylko całkiem inaczej. Najzdolniejszego z polskich polityków okoliczności stopniowo spychają na pobocze. Sam Kwaśniewski energicznie im pomaga. Zachowuje pawlakowate milczenie wobec bieżących sporów. Można by to oceniać jako taktykę umyślną przed kampanią prezydencką, ale on równocześnie mówi współpracownikom, że kandydować nie będzie, i to tak, aby roznosiło się szeroko. Kiedy kandydat mówi, że nie będzie kandydo-

wał, może to oczywiście znaczyć, że właśnie będzie, tylko chce być proszony, co robi dobre wrażenie na wyborcach.

Kwaśniewski wszakże powiada, że należałoby poprzeć wspólnego kandydata centroprawicy. Najchętniej rzuca nazwisko Kuronia.

Jest wielkim błędem wyjawianie przez Kwaśniewskiego jego nieodwzajemnionej miłości do UWoli. Pawlak przez to coraz bardziej Kwaśniewskiego nie cierpi i nawet nie chce z nim gadać. Wylewność męża Joli Kwaśniewskiej ma i inne wady. Po pierwsze, Unia zmierza do podziału, więc do dalszej utraty znaczenia i społecznego poparcia. Po drugie, szalone wyznania miłosne Kwaśniewskiego wobec UWoli są nie na czasie, czego dowodzi przebieg wyborów zarządów miast i zdecydowane odrzucenie przez Unię koalicji z lewicą. A więc nawet na szczeblu lokalnym Kwaśniewski jest karmiony czarną polewką. Po trzecie, gadanie o wspólnym kandydacie na prezydenta obu Unii i lewicy chwycie koalicją parlamentarną i rządową SLD-PSL, wznagając nieufność pawlaczków do nieoljalnego, jak mniemają, sojusznika.

Polska jest państwem małego kalibru, ale większego, niż potrafi udźwignąć. Nie wiadomo, kto nią rządzi, a raczej wielu rządzi po trochu, choć to cecha raczej anarchii niż demokracji. Podziały i walki będą się wzmacniać, mnożyć zaś skandale i sezonowe sensacje. Nic to złego, bo Polska zawsze bałaganem stała. Także za socjalizmu.

URBAN



PRASA ŚNIADANIOWA

♦ **Sławomir Mentzen** przyznał, że postulaty o jedzeniu psów mogły być złym pomysłem. Bo baby i pedały na żartach się nie znają!

♦ **Mateusz Morawiecki** po ogłoszeniu wyników wyborów zapowiedział, że jest w stanie rozmawiać z każdym. W pierwszej kolejności radzimy porozmawiać z lustrem.

♦ **Abp Stanisław Gądecki** powiedział, że akty homoseksualne nie będą zaaprobowane przez Kościół. Na końcu tego stwierdzenia powinna być gwiazdka.

♦ **Bp Mirosław Milecki** zaapelował do młodzieży, aby zaprzestała „odjaniepawiania”. Teraz niech mówią: „Co tu się oddzieławizowało?”.

♦ Jak informuje portal **Frona.pl**, niemieckie media zacierają ręce po wynikach wyborów w Polsce. Jasne, wszyscy chcą pracować w naszych mediach narodowych.

♦ Małopolska kurator **Barbara Nowak** powiedziała, że sabotaż referendum ujawnił podłość ekipy Tuska. W sprawie odwołania pani kurator frekwencja byłaby wyższa.

MARTA M.



Udało się. I co teraz będzie?

Facebook

♦ **Przemysław Kukula**: Teraz to będzie jedno wielkie zamieszanie w postaci problemu z powołaniem nowego rządu.

♦ **Zbigniew Czarnecki**: Po PiS-ie 20 lat trzeba będzie sprzątać. Jakie szambo zostawił, to dopiero się okaże, jak nowy rząd powstanie. Czyli jednym słowem, gównó będzie.

♦ **Anna Pasternak**: Teraz będzie wielki test opozycji, społeczeństwo zrobiło swoje...

♦ **Jacek Karczmowicz**: Smutek Jarka jest moją radością.

♦ **Monika Szadkowska-Mazur**: Teraz będzie pomidorowa na rosolo z wczoraj.

♦ **Andrzej Głogowski**: Teraz będziemy słuchać pięknego koncertu w wykonaniu świri odrywanych od koryta

♦ **Łukasz Jakóbek**: Nic, będzie tak samo. Albo lepiej.

♦ **Michał Czarnowski**: Zmiana diety. Zamiast miski ryżu będzie szczaw i mirabelki z nasypu kolejowego.

♦ **Maciej Bochnacki**: Długopis zrozumie, że żadne z niego wieczne pióro.

♦ **Kr Rut**: Teraz jest jesień, potem będzie zima, a z chwilą pierwszych przymrozków długopis prezydenta odmówi posłuszeństwa. Trzeba go będzie brać na pych.

♦ **Teresa Sienkiewicz**: 11 listopada będzie zadyma w Warszawie!

♦ **Michał Makarewicz**: W końcu teleturniej „Jeden z dziesięciu” będę oglądał bez obrzydzenia.

Forum

♦ **BOG**: Jakoś to będzie. Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było.

„Facet to świnią” – takie podejście z piosenki Big Cyca w wyborach parlamentarnych zemściło się srodze na lewicy, która osiągnęła raczej żenujący wynik. A powinna ona brylować, skoro generalnie sympatie ludzi przesunęły się w kierunku socjału i liberalizmu obyczajowego. Przyjdzie czas na szczegółowe analizy, ale teraz chciałam zwrócić uwagę na jeden bardzo istotny fakt. Jak wiedzą inwestorzy, nie powinno się wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka. Liczenie, że na fali Strajku Kobiet dziewczyny zapewnią sukces wyborczy, okazało się mrzonką.

W nowym sejmie lewica będzie mieć zaledwie 26 mandatów, aż o 23 mniej niż w poprzednim. Czas na pracę intelektualną i wzbogacenie oferty lewicy o coś dla facetów, którzy może nie bywają w modnych wielkomięskich klubach gejowskich, ale harują fizycznie i często nie dożywają emerytury. Jeśli nic się nie zmieni, to po kolejnych wyborach lewica znów wypadnie z parlamentu i będzie mogła winić o to wyłącznie siebie...

Realne bolączki

Rację ma lewicowa pisarka i aktywistka Sylwia Chutnik – usłyszałam to w jednej z rozmów z nią – że nie ze wszystkimi się dogadasz. Z neandertalczykami, którzy fantazjują o legalizacji gwałtów (wszak jak suka nie chce, to nie da) i odebraniu praw wyborczych kobietom, nie ma o czym rozmawiać, można im co najwyżej nakłaść po pysku. Ale reakcją na idiotyzm prawaków nie może być durnota lewaków, sugerujących – podobno żartobliwie – by odebrać prawo głosu młodym mężczyznom, jakoby mniej odpowiedzialnym.

Prof. socjologii Przemysław Sadura z Uniwersytetu Warszawskiego na łamach „Wysokich Obcasów” przekonywał, że w ramach reformy prawa wyborczego można by później pozwolić facetom na głosowanie: „Powód jest jeden i jest związany z dojrzałością polityczną dziewczyn. Już te nastoletnie są niezwykle świadome procesów politycznych i zagrożeń, jakie niosą ze sobą rządy prawicowych populistów”.

Jak ujęła to Patrycja Wierczukiewicz w „Krytyce Politycznej”, komentując dziwaczne wynurzenia Sadury: „Szkoda, że opozycja demokratyczna, której częścią jest Lewica, nie zwraca się wprost do młodych mężczyzn i nie analizuje problemów, które ich dotyczą, licząc, że sami dostrzegą korzyści, jakie dałoby im wprowadzenie prospołecznych rozwiązań, mimo narracji zdominowanej przez hasła kierowane przede wszystkim do kobiet i mniejszości”.

Rzuciłam okiem na raport Michała Gulczyńskiego sprzed dwóch lat „Przemilczane nierówności. O problemach mężczyzn w Polsce”. Przyznał się on do powstania coraz głośniejszego Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn. Uderzyło mnie, że raport i ta organizacja zwracają uwagę na pewne kwestie, które faktycznie są ważne, choć w dużej mierze mniej płciowe, a bardziej klasowe.

Prawdą jest, że im niższy poziom edukacji, tym więcej przedszkolań i nauczycielek. Ale, poza stereotypami, wynika to z prostego faktu, że są to nisko opłacane stanowiska pracy – przeciętny facet za te pieniądze nie będzie użerał się z cudzymi dziećmi (pół biedy) i z ich rodzicami (często cała bieda). Faktem jest, że mężczyźni rzadziej chodzą do lekarzy, więcej piją i palą, wcześniej umierają i znacznie częściej popełniają samobójstwa. Ze chłopcy osiągają wyraźnie niższe wyniki w nauce, co negatywnie wpływa na ich szanse życiowe. I warto coś z tym zrobić.

Ale w „Przemilczanych nierównościach” uderzyło mnie pomieszanie pobożnych życzeń z unikaniem jak ognia wszystkiego, co by mogło nie spodobać się klerowi i PiS-owi. Bo czemu unikać, jako podobno „kontrowersyjnej”, edukacji seksualnej w szkołach, skoro – jak pokazują twarde badania – młodzi Polacy, zwłaszcza chłopcy, to seksualni analfabeci, zlerpiący wiedzę o relacjach intymnych z porno, ewentualnie (co też chujowe) z lekcji sławetnego przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie, często znajdującego się w rękach dewotek?

Podział płciowy, czyli kastowy

Duża część problemu polega na tym, że lewica w Polsce – na świecie to wygląda bardzo różnie – naturalnie predestynowana do reprezentowania „wyklętego ludu ziemi”, nie pali się do wykonywania swej roli. Wedle pamiętnej frazy z „Manifestu komunistycznego” Marksa i Engelsa jej oczywisty elektorat ma do stracenia tylko kajdany, a to zdobycia – cały świat.

Świat ideowy polskiej lewicy, w którym dyktują warunki aktywne w social mediach członkinie/wyznawczynie Partii Razem, ogranicza się najczęściej do nudnej do wyrzeganie politycznej poprawności, sekciarstwa, czytania Żiżka i niedoli wielkomięskich profesjonalistek, które zarabiają na analogicznym co faceci stanowisku nie 12, a tylko 10 tys. zł.

W tym środowisku wyglądzone typy z pomalowanymi paznokciami są mile widziane, natomiast nie ma miejsca dla facetów z brudem za



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

paznokciami, chyba że akurat przetykają kibel albo opróżniają kubły ze śmieciami.

Oczywiście polscy prawicowcy są nastawieni na wojny kulturowe i męski szowinizm. Fałszywi przyjaciele gatunku męskiego, których pomysły jeszcze by pogorszyły realną sytuację tych wszystkich Sebow i Januszów, którzy ciężko pracują na chleb w fabrykach czy na budowach. Ale w zamian oferują swoistą psychoterapię, która pozwala poczuć się lepiej – może nie mam grubej forsy jak Mentzen, ale w końcu obaj jesteśmy mężczyznami, a każdy mężczyzna to ktoś z gruntu lepszy niż kobieta. Ale marny wynik Konfederacji pokazuje, że wymachiwanie głównie szabelką na wojnach kulturowych nie jest przepisem na sukces.

I tu pojawia się resentyment. Jego ofiarą padają kobiety. Nie, nie te wyszczekane akademicki – skądinąd zarabiające znacznie mniej niż spawacz czy hydraulik, więc nie do końca rozumiem, skąd ich poczucie wyższości wobec wykonujących pracę fizyczną – bo są poza ich zasięgiem. Ale często ofiarami wrogości padają ich siostry, matki, sąsiadki, koleżanki z pracy czy córki. Nie profesorki czy menedżerki, ale sprzątaczk, kucharki czy pracownice dyskontów.

Brzydkie słowo na „k”

Rzecz jasna, lewica nie powinna zaniedbać takich kwestii jak prawa kobiet, dzieci, elgiebetów oraz zwierząt, ochrona przyrody i przeciwdziałanie zmianom klimatycznym. Ale nie może – jeśli chce być silniejsza, a nie niszowa, ze szklanym sufitem na poziomie 10–12 proc. poparcia, a nawet mniej – abstrahować od spraw zwykłych mężczyzn, choćby jawili się na pierwszy rzut oka jako zacofani, a nawet głupi. Jednak nawet od strony czysto pragmatycznej są oni łakomym kąskiem, po który warto sięgnąć, a nie oddawać walkowerem innym partiom, które potrafią do nich dotrzeć.

Pod czerwonym sztandarem walk o emancypację jest miejsce dla różnych zmagających. Byłoby wielkim skurwysyństwem odciąć się od ludzi harujących na czarno, na umowę-zlecenie lub za pensję minimalną tylko dlatego, że są mężczyźni przeważnie o dość ostatnich gustach i braku intelektualnego wyrafinowania.

Lewica bez języka odwołującego się do klasy społecznej, tego brzydkiego słowa na „k”, które-ki czy ogień boją się politycy prawicy, to wódka bezalkoholowa albo zimny ogień.

Prawdę mówiąc, mam totalnie wyjebane, czy wśród najlepiej opłacanych menedżerów będzie 9, czy 99 proc. kobiet, czy dyrektorki zarządzające będą zarabiać 85, czy 125 proc. tego, co faceci na ich stanowiskach. Kobiety mogą wygrać z mężczyznami w ich własnej grze. Ale nie zmieniają jej reguł, a nawet je wzmacniają. Weźmy taką Margaret Thatcher, „Żelazną Damę”, ikonę różnych zidiociałych feministek i Korwina. Zanim uczyniła ona piekłem nie tylko życie górników, ale i ich żon czy córek, wzięła za pysk męski klub, partię torysów.

Jak kiedyś śpiewał Bob Marley: „Możesz czasem ogłupić niektórych ludzi, ale nie możesz ogłupić zawsze wszystkich”. Na szacunek i troskę zasługują nie tylko kobiety i osoby niebinarne, ale też mężczyźni. Inaczej będziemy mieli w tym kraju kobiety na poziomie w otoczeniu troglodytów, którzy będą wzajemnie sobą gardzić, uniemożliwiając postępowe ułożenie spraw w tym kraju, na co jest miejsce.

I te pierwsze będą wzdychać jak w piosence „Babcia mówi” Mai Koman: „Oj, gdzie ci mężczyźni, oj, prawdziwi tacy. Gdzie te chłopcy, gdzie ci fajni chłopacy”.

KATARZYNA KOENIG

Koalicja strzelnicza odpustowa rządowa w cipie

Czy w najbliższych tygodniach nastąpi w Polsce wielkie skrobanie? Czy też Tusk w imię powołania antykatceji koalicyjnej rządowej wytnie swoim wyborcom finię w nos? Byłby to doprawdy spory zawód.

W badaniu exit poll ośrodek Ogólnopolskiej Grupy Badawczej zapytał, który temat miał największe znaczenie przy podejmowaniu decyzji w sprawie głosowania. Były to sytuacja gospodarcza (27,8 proc.) oraz aborcja i prawa kobiet (16,5 proc.). A w kwestii migracji i relokacji uchodźców, co w kampanii PiS piłował do znudzenia, ale także nie poddańcze stosunki państwa z Kościołem czy afery związane z władzą. Skrobanki okazały się ważne, w każdym razie o wiele ważniejsze. Nie da się tego dokładnie zmierzyć, ale być może to właśnie wykreowanie przez PiS niesławnego wyroku trybunału mgr Przyłębskiej w sprawie aborcji przyczyniło się w dużej mierze do zablokowania przez społeczeństwo możliwości sprawowania przez kaczystów władzy przez kolejną, trzecią kadencję.

...

W swoim czasie Donald Tusk publicznie zadeklarował, że niezwłocznie po wyborach jesienią 2023 r. Koalicja Obywatelska złoży w sejmie projekt ustawy legalizującej aborcję do 12. tygodnia. I ma to być wyłącznie decyzja kobiety. Tusk obiecał także, że na listach wyborczych, które będzie konstruował, stanowisko w sprawie aborcji będzie uwzględniane jako jedno z kluczowych i nie znajdzie się na nich nikt, kto będzie przeciwnego zdania. I nawet gdy zamontował na liście wyborczej znanego ze swych konserwatywnych poglądów Romana Giertycha, wymógł na nim deklarację, że „po wyborach, jeżeli zostanie wybrany, to będzie lojalnym i przestrzegającym dyscypliny członkiem klubu”, a więc nie będzie gardłował przeciwko aborcji.

Sprawa ta znalazła się także w zestawie 100 konkretów Tuska do załatwienia w 100 pierwszych dni rządów: „Aborcja do 12. tygodnia ciąży będzie legalna,

bezpieczna i dostępna. Żaden szpital działający w ramach NFZ nie będzie mógł zasłonić się klauzulą sumienia i odmówić zabiegu. Decyzja musi należeć do kobiety”. A także kolejny konkret: „Zapewnimy dostęp do »antykoncepcji awaryjnej« bez recepty”.

Lewica, która najmniej się liczy w koalicyjnej układance (bo liczy tylko 28 posłów), ma w sprawie aborcji poglądy jasne. W programie Nowej Lewicy znalazł się zapis: „Uzależnione wyłącznie od decyzji kobiety prawo do przerwania ciąży do 12. tygodnia, a po 12. tygodniu ciąży – w przypadku zagrożenia życia lub zdrowia kobiety albo ciężkich wad płodu”.

...

Ale ostatnie dni pokazały, że w temacie skrobankowym zaczęły się schody. Trzecia Droga, czyli Kosiniak-Kamysz z Hołownią – a więc główny koalicjant Tuska – jest przeciwna zalegalizowaniu aborcji do 12. tygodnia. Chce jedynie powrotu do tzw. kompromisu aborcyjnego sprzed wspomnianego już wyroku trybunału, czyli sytuacji, w której aborcja jest nadal nielegalna, ale możliwa do przeprowadzenia w trzech przypadkach (gdy jest wynikiem gwałtu, gdy stanowi zagrożenie dla życia kobiety oraz gdy płód obciążony jest ciężkimi wadami). Poza tym Trzecia Droga byłaby skłonna ogłosić referendum w sprawach skrobankowych.

Kosiniak-Kamysz zresztą wprost wiele razy deklarował, że jest przeciwnikiem wprowadzenia legalnej aborcji. Hołownia jeszcze lata temu był przeciwnikiem skrobanek w jakiegokolwiek postaci, teraz mu trochę zelżało i deklaruje, że byłby skłonny poprzeć ten tzw. aborcyjny kompromis.

Ledwo rozpoczęły się wstępne rozmowy koalicyjne, a już Kosiniak-Kamysz ogłosił, że „sprawy światopoglądowe nie mogą być elementem umowy koalicyjnej i ja na jakiegokolwiek wpisywanie w umowę koalicyjną spraw światopoglądowych się nie zgodzę”. Co należy czytać: sprawę skrobanek odłożyć ad acta. Bo jak nie... Właśnie. Bo jak nie, to co? Da się Kosiniak-Kamysz skusić Kaczorowi posadą premiera?

...

Jest to zupełnie niepojęte, jak w Europie w XXI w. babskie cipy, jajniki i brzuchy trzęsą życiem politycznym i nie tylko politycznym. Czy nie czas już się z tego wyzwolić?! Tusku, tym razem, kurwa, musisz!

WALDEMAR KUCHANNY



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Czarzasty wchodzi ślizgiem

Czy bój to nie ostatni?

Kochana Lewico! Bardzo się cieszę, że weszłaś do sejmu i „wracasz do współrządzenia”, ale nie pierdolcie, towarzysze, że wynik o jedną trzecią gorszy niż w 2019 r. to sukces. I bardzo uważajcie. Bycie przystawką do liberałów może być zabójcze.

Symetryzm w służbie socjalizmu

Jako członkini wyklętego bractwa symetrystów nieraz obrywałam od kolegów z redakcji i poza nią, kiedy usiłowałam wskazywać pozytywne elementy programu socjalnego PiS. Pozwólcie jednak, że to powtórzę – zwłaszcza że nie ma już niebezpieczeństwa, że symetryzm przyczyni się do kolejnego zwycięstwa Prawa i Sprawiedliwości: wyraziste podwyższenie płacy minimalnej; rewolucyjne wprowadzenie stawki godzinowej, które ukróciło sfery

najcięższego wyzysku, np. w ochronie, gdzie ludzie dostawali 3,50 zł za godzinę; 500+, które zmieniło sytuację na rynku pracy, znosząc z niego sektor zdesperowanych rodziców – najczęściej samotnych matek – gotowych pracować na każdych warunkach i za każde pieniądze.

Jako zatwardziały marksista popierałam także re-nacjonalizację: sektor państwowy może i powinien być elementem zdrowej gospodarki, wyznaczając wysokie standardy zatrudnienia i przynosząc zyski budżetowi państwa, a nie prywatnym właścicielom. Ważne jest też, żeby tam, gdzie chodzi o zaspokajanie ważnych potrzeb społecznych – jak energetyka, wodociągi czy choćby pogotowie – wyeliminować logikę zysku, która jest wszak sensem istnienia prywatnych firm. I tak, znamy oczywiście wszystkie negatywne strony tych rozwiązań – ekstremalne

upartyjnienie państwowych spółek, nieprzyzwoity skok na kasę; lewica musi też być przeciwko prezentowanej przez PiS filozofii, opierającej się na tym, że zamiast naprawiać usługi publiczne, damy ludziom kasę, żeby je sobie kupili na wolnym rynku. Jednak to nie znaczy, że wszystkie elementy polityki społeczno-gospodarczej PiS można wywalić do kosza. Pisowcy, jako narodowi socjaliści, wprowadzili sporo socjalistycznych rozwiązań i Lewica powinna ich bronić.

Granica kompromisu

I ten bój – bynajmniej nie ostatni – zacznie się już za chwilę. Wchodząc do rządu tworzonego przez Platformę Obywatelską, Lewica stoi przed wielkim wyzwaniem. Z pozoru można założyć, że jako najmniejszy partner koalicyjny, będzie musiała akceptować wiele wrednych kompromisów – ale to tylko jeden punkt widzenia. Drugi jest taki, że bez 26 posłów Lewicy nowy rząd nie będzie w stanie powstać: KO i Trzecia Droga mają w sumie 222 mandaty, a to – zwłaszcza przy bardzo silnej pisowskiej opozycji – za mało, żeby przegłosować cokolwiek. Inna sprawa, czy nowy rząd będzie w stanie przyjąć skutecznie jakiegokolwiek ustawy przez najbliższe dwa lata kohabitacji z prezydentem Dudą – ale jego powołanie jest w tej chwili relatywnie pewne, pod warunkiem że zgłosuje za nim też 26 lewicowych wybrańców narodu. Teoretycznie głosy Lewicy mogłyby zostać zastąpione przez konfederatów – ale oni akurat nie mają w tym żadnego interesu i raczej będą uprawiać *splendid isolation*, czekając na „swoją czas”, co Mentzen mniej więcej zapowiedział w wieczór wyborczy. A poza tym sytuacja, w której rząd odbudowy polskiej demokracji zawdzięcza swe powstanie naziolom, byłaby dla tego rządu nieco niezręczna.

Już dziś Lewica musi zdecydować, gdzie ma przebiegać granica kompromisów; na jakie rozwiązania z dość liberalnego programu KO i TD jest gotowa

się zgodzić, a przeciwko jakim zgłosuje twardo, nawet gdyby miało to oznaczać wywalenie z rządu. Sądzę, że powinna jasno zapowiedzieć koalicjantom, że nie będzie głosować za rozwiązaniami wyrażającymi sprzecznością z jej programem – zwłaszcza w obszarze praw pracowniczych, bo to stanie się zapewne kością niezgody nowej władzy. I tę decyzję trzeba podjąć dziś, zanim powstanie sieć zależności, osobistych karier i klientelistycznych posad, która osłabi determinację towarzyszy w walce o ideały. Wybaczcie cynizm, ale takie jest życie.

Aborcja i dach nad głową

Myślę też, że Lewica musi sobie wybrać jakieś punkty swojego programu, z których nie ustąpi. Pierwszy jest oczywisty – legalna aborcja do 12. tygodnia – i z tym nie będzie specjalnego problemu politycznego, bo ten sam postulat, jako warunek sine qua non wejścia na listy KO, zapowiedział Donald Tusk; inna sprawa, że Andrzej Duda w życiu takiej ustawy nie podpisze, a Trybunał mgr Przyłębskiej zapewne ją obali. Ale tu głosowanie Lewicy w sejmie i senacie musi być jednoznaczne i oczywiście – nawet jeśli na faktyczną liberalizację trzeba będzie poczekać.

Drugi punkt programu Lewicy, który powinien być warunkiem brzegowym jakiegokolwiek współpracy z nowym rządem – to jej program mieszka-

niowy. Po pierwsze dlatego, że jest to bardzo sensowny program, który może wymiernie zmienić sytuację na kompletnie pojebanym dziś rynku mieszkaniowym – ale także dlatego, że lewicowa kampania w znacznym stopniu opierała się na tym właśnie programie i jego realizacja przyniesie formacji wiarygodność i markę sprawczości. A to jest jej bardzo potrzebne, co wyraźnie wskazały wyniki wyborów; spora część lewicowego elektoratu zagłosowała na KO, sądząc, że jest to sposób na zagwarantowanie sobie, że ich głos nie zostanie zmarnowany. Wymierny sukces, który przełoży się na jakość życia setek tysięcy obywateli, to coś, czego lewicowa formacja bardzo dziś potrzebuje, żeby nie rozpuścić się w antypisowskiej koalicji.

Liderzy na taczki

I wreszcie: nie sądzicie, że to pora na radykalne zmiany w partii?

Na czele formacji, która odwołuje się do młodych pracowników wyzyskiwanych na rynku pracy i młodych kobiet o postępowych poglądach, stoi dwóch facetów. Jeden ma lat 47, przerznął haniebnie wybory prezydenckie i wbrew obietnicy nie zrezygnował z szalenie intratnej posady europośła. Drugi ma lat 63, majątek wart 5 baniek i ledwo co prześlizgnął się do sejmu,

nieomal tracąc mandat na rzecz sosnowieckiego radnego, będącego równolatkiem „wolnej Polski”. Wielu badaczy – jak na przykład życzliwy lewicy, związany z „Krytyką Polityczną” prof. Przemysław Sadura – uważa, że to właśnie ich dziaderstwo jest głównym powodem, dla którego Lewica nie przekonała do siebie młodych kobiet; że „nie wykorzystali szansy na przesunięcie na pierwszy szereg kobiet lub wskazanie kandydatki na premierkę”. Myślę, że to jest dobry moment, żeby towarzysze Czarzasty i Biedroń wzięli polityczną odpowiedzialność za marny wynik Lewicy w tych wyborach i usunęli się z kierownictwa. Sądzę też, że dobrze byłoby, gdyby Razem skończyło ze swoją sekciarską mentalnością i połączyło się z Nową Lewicą w jedną partię. Co miałoby ten walor, że na jej czele mogłyby stanąć dwie mądre, wyraziście lewicowe i zapewne mniej skłonne do zgniłych kompromisów polityczki – Magdalena Biejat i Agnieszka Dziemianowicz-Bąk.

Tak naprawdę, to powinno było stać się przed wyborami, ale dziś nie warto rozzdzierać szat z powodu zrobionych już błędów. Jeśli jednak, towarzysze, nie wyciągniecie z nich wniosków, przedkładając osobiste ambicje grupki niezbyt udanych politycznie facetów nad przyszłość całej formacji – to będzie naprawdę złe.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

WIARA CZYNI CZUBA

1. W liceum Gambetta-Carnot w Arras w północnej Francji absolwent szkoły Mohammed Mogushkov, 20-letni imigrant z Czeczenii, z okrzykiem „Allahu Akbar” poderznął gardło nauczycielowi francuskiego nazwiskiem Dominique Bernard. Bernard zmarł na miejscu. Trzy inne osoby trafiły do szpitala w stanie ciężkim: nauczyciel WF z przeciętą tętnicą szyjną, ochroniarz ranny w klatkę piersiową i brzuch i sprzątac z pochłastaną twarzą. Kilka minut przed atakiem Mogushkov nagrał filmik, w którym przysięgał wierność kalifowi Państwa Islamskiego Abu Hafsowi al-Haszemiu al-Kuraszemu i zadeklarował swoją nienawiść do Francji, Francuzów, demokracji i edukacji publicznej. Wraz z zabójcą został zatrzymany jego 16-letni brat.

2. W zeszłym tygodniu pisaliśmy o dyrektorce publicznego liceum w Walker w Luizjanie, który był tak burzono-filimkiem z seksownym tańcem jednej z uczennic na prywatnej imprezie, że pozbawił ją stanowiska szefowej

samorządu szkolnego i rekomendacji na stypendium na studia, a w zamian obdarzył cytatem z Biblii, bransoletką z napisem „Kocham Jezusa” oraz pouczeniem, że powinna się wstydić, bo nie dba o życie wieczne. Po tym, jak sprawa nabrała rozgłosu w necie, dyrektor Jason St. Pierre wydał oświadczenie: „Podczas mojej rozmowy z Kaylee na temat imprezy tanecznej Kaylee i ja poruszyliśmy temat przekonań religijnych”, dodając, że przeprosił, cofnął sankcje, a następnie udał się na urlop. Najnowszą wiadomość jest taka, że stypendium dziewczynie przepadło, ale prozelita odszedł na wcześniejszą emeryturę. Coś za coś.

3. Brazylijski Federalny Sąd Najwyższy zajmuje się wnioskiem Partii Socjalizmu i Wolności o dekryminalizację aborcji. Obecnie, zgodnie z kodeksem karnym z 1940 r., czyli z czasów faszystowskiej dyktatury Getúlia Vargas, aborcja jest przestępstwem, za które kobiecie grozą trzy, a lekarzowi cztery lata więzienia. Sąd rozpoczął głosowanie (które odbywa się etapami). Zareagowała Specjalna Komisja Bioetyczna Krajowej Konferencji Biskupów Brazylii, która jest całym sercem za dalszym wsadzaniem kobiet i lekarzy. „Żadne okoliczności, żaden cel, żadne prawo na świecie nigdy nie może uczynić legalnym czynu, który jest ze swojej istoty nielegalny – czynu dobrowolnego i świadomego spowodowania śmierci ludzkiej istoty poprzez aborcję” – naucza szef komisji, biskup pomocniczy Kurytyby Reginei José Modolo.

4. Archidiecezja Baltimore odwołała proboszcza parafii św. Benedykta ojca Paschala Morlino i zawiesiła

jego prawo do posługi kapłańskiej. 85-letni Morlino, członek zakonu benedyktyńskiego, znany jako „miejski mnich”, zawiadywał parafią od 39 lat. W zeszłym tygodniu portal „Baltimore Banner” poinformował, że przyjacielka zmarłego kilka lat temu kvestarza parafii znalazła w jego rzeczach pisma procesowe, z których wynikało, że w 2000 r. miejski mnich zabrał jego i trzech innych mężczyzn na wakacyjny rejs. Którejś nocy kvestarz obudził się pod mnichem. W rozmowie z „Baltimore Banner” Morlino przyznał, że w 2018 r. zapłacił mężczyźnie 200 tys. dolarów za milczenie. „Chciałem tylko go uciszyć, pozbyć się go, bo robił kłopoty. Moje sumienie jest czyste; to wszystko jego wymysł” – wyjaśnia Morlino.

5. Christopher Saunders to były biskup australijskiej diecezji Broome oskarżony o molestowanie co najmniej 67 młodych Aborygenów, których miał oswajać za pieniądze diecezji, wydając setki tysięcy dolarów na prezenty, aby potem organizować orgie z ich udziałem w biskupiej rezydencji. Policji nie udało się znaleźć dowodów na biskupie swawole, za to ustaliło je watykańskie śledztwo, w wyniku którego Saunders został usunięty ze stanowiska, a akta zostały – zaskakująco – przekazane władzom. Teraz jednak okazuje się, że Kościół kat. nie ma w sprawie Saundersa tak całkiem czystego sumienia. Były biskup do dziś rządził dwięcioma kościelnymi fundacjami charytatywnymi. Jedną z nich ma majątek rzędu 1,3 mln dolarów, a jej celem ma być pomoc „misjom wśród ludności rdzennej”, choć ludność nigdy nie zobaczyła ani grosza.

6. Rząd Japonii wystąpił do sądu przeciwko Rucho-wi pod Wezwaniem Ducha Świętego dla Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego, czyli sekty Sun Myung Moona. Sekta znalazła się na celowniku po zeszłorocznym zabójstwie byłego premiera Japonii Shinzō Abego. Zabójca tłumaczył swój czyn zemstą wobec organizacji, która zrujnowała jego rodzinę, a którą zabity wspierał. Śledztwo wykazało, że coś jest na rzeczy: sekta oczywiście pierze mózgi swoim członkom i przejmując ich majątki w zamian za odpuszczenie grzechów. Rząd chce pozbawić ją statusu korporacji religijnej, który wiąże się z przywilejami podatkowymi. Sekta jest oburzona: „Niezwyczajnie godne ubolewania jest to, że rząd podjął tak ważną decyzję w oparciu o stronnicze informacje od lewicowców grupy prawników powołanej do celu zniszczenia naszego Kościoła”.

7. Beck Lawrence, znana też jako Szyjąca Czarownica, to właścicielka małego sklepu w Hanover w Pensylwanii. Sprzedaje tam świece zapachowe i uspokajające zioła, zaprasza ludzi zainteresowanych filozofią New Age, a także stawia tarota, podkreślając w swoim ogłoszeniu, że „wszelkie usługi tarota są przeznaczone wyłącznie do celów rozrywkowych”. To jednak nie przekonało szefa lokalnej policji Chada E. Martina, który wraz z drugim funkcjonariuszem przyszedł do jej sklepu z informacją, że łamie prawo i grozi jej za to rok więzienia oraz 2,5 tys. dolarów grzywny. Okazuje się bowiem, że w stanie Pensylwania nie wolno „dla zysku lub zarobku wróżyć lub przepowiadać przyszłość”. Prawo pochodzi z roku 1861, ale to jeszcze nie powód, żeby wiedźmy panoszyły się w chrześcijańskim kraju.

Nietolerancja, ksenofobia, mizoginizm

Wybory prawie demokratyczne.

Zgromadzenie Parlamentarne Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie wydało raport na temat polskich wyborów. Niby to wszystko wiemy, ale zewnętrzny punkt widzenia zawsze jest intrygujący.

Obserwatorzy OBWE opublikowali swój raport już w piątek, poniedziałek. Ma 18 stron i nie zawiera nadmiernego podziwu dla polskiego procesu demokratycznego.

Partia rządząca cieszyła się wyraźną przewagą...

Autorzy przyznają, że „wybory odbyły się w warunkach konkurencji i wyborcy mieli szeroki wybór politycznych alternatyw”, ale dodają też, że „rządząca partia cieszyła się wyraźną przewagą” poprzez „niewłaściwe wykorzystanie zasobów państwowych i mediów publicznych”. Nie są też zachwyceni atmosferą: „Wybory, niestety, charakteryzowały się szerokim użyciem nietolerancyjnej, ksenofobicznej i mizoginizmowej retoryki”. OBWE wyraża niejakie zdziwienie, że mimo spolaryzowanej kampanii sam proces wyborczy odbywał się w sposób „spokojny i uporządkowany”, choć odnotowuje, że kabinety w lokalach wyborczych były za małe, żeby ukryć wielkie karty do głosowania.

Raport w kulturalnym i dyplomatycznym języku odnotowuje „zauważalne nakładanie się na siebie przekazu partii rządzącej i informacji kampanijnych rządu”. Stwierdza też karcąco, że „prawo wyborcze nie reguluje wyraźnie, w jaki sposób urzędnicy państwowi mogą prowadzić swoją kampanię”. OBWE zauważa ze zdziwieniem, iż „niektóre wydarzenia realizowane za środki publiczne wyraźnie wspierały kampanijny przekaz partii rządzącej”, a jej kandydaci „często brali udział w opłacanych ze środków publicznych wydarzeniach, inauguracjach i ceremoniach otwarcia w swoich okręgach wyborczych” – co pozostaje „w konflikcie z międzynarodowymi standardami i zobowiązaniami OBWE”. W raporcie czytamy też, że „wielu urzędników państwowych, w tym ministrów, prowadziło własną kampanię podczas takich wydarzeń” – dodając dla równowagi, że „część samorządów powieliła przekaz Koalicji Obywatelskiej”.

TVP demonstrowała otwartą wrogość

W Polsce – czytamy – widać „generalnie zwężającą się przestrzeń dla niezależnego dziennikarstwa”. Międzynarodowi obserwatorzy zauważyli, że

„wybiórczo umieszczanie reklam przez instytucje rządowe i spółki państwowe jest wykorzystywane jako instrument wspierania życzliwych sobie linii redakcyjnych, zamiast promować krytyczne niezależne media”.

W raporcie znalazła się też informacja, że „kontrolowany przez państwo Orlen nabył koncern prasowy Polska Press”, wobec czego „Lewica i Trzecia Droga zostały poinformowane przez koncern, że gazety »Echo Kieleckie« i »Nasze Miasto Gorzów« nie przyjmą ich wyborczych ogłoszeń ze względu na wyrażone w nich »lewicowe wartości«”.

Wiele uwagi raport poświęca też TVP. „Telewizja publiczna demonstrowała otwartą wrogość wobec opozycji i przedstawiała czołowego lidera opozycji jako zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Z kolei większość mediów prywatnych przyjęła linię krytyczną wobec partii rządzącej, a niektóre wyraźnie faworyzowały opozycję” – czytamy. „Telewizja publiczna prowadziła politykę redakcyjną skierowaną na to, żeby intencjonalnie zniekształcać i zaprezentować wydarzenia polityczne i społeczne

przez pryzmat promocji partii rządzącej”, podczas gdy „ustawa stanowi, że publiczny nadawca powinien prezentować programy w sposób pluralistyczny, bezstronny i wyważony”.

Format debaty nie pozwalał na mającą sens wymianę zdań

Obserwatorzy obliczyli, że PiS-owi i rządowi poświęcono odpowiednio 28 i 9 proc. czasu politycznych programów w TVP 1 – i był to „przekaz niemal wyłącznie pozytywny i często sformułowany tak, żeby nawiązywać do tematów referendum i wzmocnić kampanię rządową”. Dla odmiany Koalicji Obywatelskiej poświęcono 40 proc. czasu antenowego, z czego „80 proc. w tonie negatywnym”; z drugiej strony „TVN poświęcił rządowi i PiS-owi odpowiednio 14 i 29 proc. czasu antenowego i jego większość była utrzymana w tonie negatywnym”, KO zaś była tematem 21 proc. przekazu, który był „albo neutralny, albo pozytywny”. Co ciekawe, „Pol-sat poświęcił tylko małą część swoich newsowych informacji polityce, poświęcając 13 proc. rządowi, 31 PiS i 26 KO w sposób przeważnie neutralny”.

Odnotowano także, że Urząd Komunikacji Elektronicznej, cytując „względy bezpieczeństwa naro-

dowego”, zezwolił na dalsze rozpowszechnianie sygnału w starszej technologii DVB-T do końca roku 2023 wyłącznie TVP, co spowodowało, że „900 tys. gospodarstw domowych miało dostęp bezpośredni tylko do publicznego nadawcy”.

Telewizja publiczna przeprowadziła zgodnie z wymogiem ustawowym debatę wyborczą, ale „jej format nie pozwalał na mającą sens wymianę zdań między uczestnikami; z czterema z sześciu zagadnień sformułowanymi wokół pytań referendalnych”.

Obserwatorzy zaobserwowali także, że Rada Mediów Narodowych „zdecydowała się nie prowadzić własnego monitoringu mediów”, mimo iż otrzymała od PKW formalną prośbę w tej sprawie: „Ciało to nie ukróciło ewidentnie stronniczej i jednostronnej narracji telewizyjnej publicznej”.

Zniesławienie i zniewaga w kodeksie karym

Kilka innych ciekawych uwag – z gatunku tych, które nie przysłyby nam do głowy.

Raport krytykuje pozbawienie prawa wyborczego – zarówno czynnego, jak i biernego – osób, które zostały ubezwłasnowolnione przez sąd; co, trzeba trafia, jest w konflikcie z międzynarodowymi zobowiązaniami i regulacjami OBWE.

Stwierdza też, że fakt, iż zniesławienie i zniewaga pozostają przestępstwami ujętymi w kodeksie karnym, jest niezgodny z rekomendacjami Biura Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka OBWE.

Raport zauważa też, że w czterech sejmowych i ośmiu senackich okręgach liczba podpisów potrzebnych do zarejestrowania kandydata jest wyższa niż 1 proc. uprawnionych, co jest w konflikcie z międzynarodową dobrą praktyką. Przy okazji odnotowuje, że 56 list sejmowych i 27 kandydatów na senatora zostało odrzuconych ze względu na błędy w zebranych podpisach. Niejaką ciekawostką jest spostrzeżenie, iż duża grupa członków komisji obwodowych pochodziła z komitetów wyborczych, które nie zgłosiły żadnych kandydatów i „mogły zostać zarejestrowane specjalnie” w celu obsadzenia komisji: „Rozmówcy delegacji uważali, że niektórzy z tych komitetów współpracowały z partią rządzącą, w ten sposób osłabiając wzajemną kontrolę i równowagę pomiędzy pracownikami komisji obwodowych nominowanymi przez poszczególne komitety”.

Z krytyką spotyka się też fakt, iż wszystkie głosy z zagranicy zaliczane są do okręgu warszawskiego, co obniża – obliczyli eksperci – wartość głosu oddanego na posła o 31 proc., a na senatora o 66 proc.

Opóźnienia i brak transparentności przy akredytacji obserwatorów

W powodzi faktów i ocen – mam wrażenie, że celowo – autorzy raportu ukryli dość enigmatyczne zdanie: „Podczas gdy międzynarodowi obserwatorzy są akredytowani przez PKW, opóźnienia i brak transparentności w trakcie procesu akredytacyjne-

go wobec znaczącej liczby międzynarodowych parlamentarzystów i pozarządowych obserwatorów negatywnie wpłynęły na ich pracę”. Zdanie powtarza się dwa razy – na początku i na końcu tekstu – ale nie doczeka się żadnego rozwinięcia.

Tymczasem sytuacja była dość kuriozalna: wielu obserwatorom OBWE, a także organizacji pozarządowych po prostu odmówiono akredytacji. O ile przyjęcie obserwatorów z NGO jest przejawem dobrej woli państwa przyjmującego – i, wydaje mi się, żadni się tego nie doczekali, a chętnych było 120 – o tyle ci ze Zgromadzenia Parlamentarnego OBWE działają na podstawie traktatów i przyjęcie ich jest psim obowiązkiem państwa. Tymczasem wyglądało na to, że rząd postanowił ich nie wpuścić bez żadnego uzasadnienia i wedle kompletnie niejasnych kryteriów. Początkowo odmowa objęła, obok kilku parlamentarzystów zachodnich, wszystkich obserwatorów z Ukrainy. Po długich i dość jednostronnych rozmowach grupa ta zmalała do pięciu: Ukraińca z partii Sługa Narodu, trzech prawicowców – z Niemiec, Finlandii i Rumunii – oraz jednego niemieckiego lewaka. W końcu wszyscy dostali papier z PKW w sobotę po południu, na jakieś 12 godzin przed rozpoczęciem głosowania. Do dziś nikt z nich nie wie, o co chodziło. Tej informacji taktownie nie umieścili w raporcie.

AWŁ

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski na łamach „Kuriera Wnet” o tym, kto będzie beneficjentem konfliktu polsko-ukraińskiego: „W oczywisty sposób Rosja, ale przede wszystkim Niemcy”. W dalszej części wywiadu dodaje: „W razie zmiany rządu w Polsce na zdominowany przez Platformę te stosunki szybko ulegną poprawie i wtedy nastąpi gładka współpraca amerykańsko-niemiecko-polsko-ukraińska, która bez zmiany rządu jest niemożliwa”. Pan profesor został powołany przez PiS do komisji ds. badania wpływu rosyjskich. Dobrze, że od razu ujawnił, kto działa na rzecz Rosji. To może komisja nie będzie już potrzebna?

★ Niemcy gremialnie popierają decyzję kanclerza Olafa Scholza o niedostarczeniu Ukrainie pocisków Taurus. Z sondażu YouGov dla agencji DPA wynika, że przeciw jest 56 proc. Niemców (za opowiada się 26 proc.), w tym 79 proc. wyborców AfD, 59 proc. SPD, 57 proc. FDP, 53 proc. CDU/CSU i 49 proc. Lewicy. Najwięcej zwolenników przekazania pocisków jest w elektoracie Zielonych – 34 proc., a 40 proc. jest przeciwn. I pomyśleć, że to Zieloni niegdyś nieśli pacyfizm na szczeblach.

★ Piłkarz ukraińskiego klubu Szachtar Donieck Aleksandr Rospucko po wygranej (2:1) meczu z belgijską drużyną Royal Antwerpia postanowił uciec do Rosji. Ucieczka się powiodła, a piłkarz zdążył już wystąpić o azyl polityczny.

★ Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski oświadczył w wywiadzie udzielonym rumuńskiej stacji Digi24, że „to ostatnia faza wojny” rosyjsko-ukraińskiej. Miejsny nadzieje, że „ostatnia faza” skończy się nieco szybciej niż „wielka kontrofensywa”.

★ Rząd Węgier zapowiedział blokadę kolejnych pakatów pomocy dla Ukrainy, dopóki Unia Europejska nie odblokuje Węgrom funduszy spójności i odbudowy, a Ukraina nie przywróci praw węgierskiej mniejszości na Zakarpaciu.

★ Antony Beever w wywiadzie dla „Newsweeka” pod zaskakującym tytułem „Jak upadnie Putin” mówi: „On nie ma nic z geniuszu Lenina, popełnia bardzo głupie błędy. Stworzył warunki własnej katastrofy”. Trzeba było wojny na Ukrainie, żeby amerykańska gazeta przyznała, że Lenin był geniuszem.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com



MÓZDZEK TYGODNIA

W czasie kampanii wyborczej pisowscy szafarze tepej nienawiści powtarzali śpiewkę o tym, kto jest Polakiem, a kto nie. Według Morawieckiego czy Witkowskiej mieli oni prawo określania patriotów i zdrajców. Wiadomo raz: Donald Tusk zaprzedał duszę brukselskim, niemieckim i ruskim diablom. Wiadomo dwa: Jarosław Kaczyński ukochał naród polski miłością pierwszą i ostatnią.

Wydawałoby się, że wraz z zakończeniem wyborów nacjonalistyczno-idiotyczne wzmoczenie ustąpi z pisowskich rozumków. Lecz nie! Wice-

minister kultury Jarosław Sellin w specjalnym nocnym wydaniu audycji „Kawa na ławę” powiedział w telewizji TVN24: „Dotąd spieraliśmy się o to, czyja jest Polska, jaka jest Polska. Teraz stajemy przed pytaniem, czy będzie Polska w sensie suwerenności, niepodległości”.

W sensie suwerenności, niepodległości to w czasce Sellina hula większy wiatr, niż można się było spodziewać. W ministerskim czerepie słychać cichutkie grzechotanie: to grzechotanie coś małego i pofałdowanego, coś na kształt włoskiego orzeszka.



Ilust. PAVEL FERENC

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

Nasze akty decyzyjne, wyborcze muszą mieć swój skutek i wszyscy będziemy musieli ponieść tego konsekwencje – daj Boże, żeby były najmniej szkodliwe z możliwych. Miejmy nadzieję, że Opatrzność będzie nad nami czuwać. Swoją drogą i tak się udało, że ileś ludzi zagłosowało za prawicą, wybrało opcję patriotyczną, a nie kosmopolityczną. Pół Narodu – licząc też głosy na Konfederację – to też nie jest mało. Jednak **połowa Narodu** mimo upływu lat wciąż jest **spadkobiercami komunizmu**.

prof. Mieczysław Ryba, „Nasz Dziennik”, 16 października

Będą rozróby, naciski zewnętrzne, destabilizacja na wielu poziomach. I choć w obliczu dwóch wojen, nasilających się niepokojów w Europie, kolejnego napływu nielegalnych migrantów i rosnącego dyktatu Niemiec i Francji, próbujących gorączkowo zmienić unijne traktaty, potrzebujemy stabilizacji i bezpieczeństwa, trzeba będzie zmagać się z potężnymi napięciami wewnętrznymi i licznymi próbami destabilizacji. Historia kolejny raz zatacza koło. Nie od dziś **obecny wpływ dławia suwerenność** i rozwój Polski w chwilach największych zagrożeń zewnętrznych.

Marzena Nykiel, wPolityce.pl, 15 października

O jednym warto pamiętać: **walka o Polskę** nie kończy się nigdy. Na tle historycznym nie jesteśmy w tragicznej sytuacji: obóz niepodległościowy będzie miał w sejmie ok. 200 mandatów. Bywały czasy, że miał jedynie jednostki. To wielki **sukces Jarosława Kaczyńskiego** i potężny kapitał na przyszłość. Także tę najbliższą: niepodległość Polski jest dziś bowiem naprawdę zagrożona.

Jacek Karnowski, wPolityce.pl, 15 października

Jeśli **Donald Tusk** zostanie premierem, to nie mam wątpliwości, że w imię rewansizmu i spełniając przy tym oczekiwania globalnych instytucji, zaprowadzi w Polsce **lewicową rewolucję**. Musimy być czujni od samego początku. I patrzeć na ręce nowej władzy, by nie dopuścić do tego, by Polska, jako bastion normalności, w którym nadal tak silne są wartości cywilizacji łacińskiej, ostatecznie padła.

Tomasz Figura, PCh24.pl, 15 października

W ciągu ostatnich kilku lat, zwłaszcza **w Europie Środkowej**, opinia publiczna jest coraz bardziej świadoma działań PiS. Mało tego – widzą w tym swego rodzaju nadzieję dla siebie. Partia, która dba o suwerenność, pomaga swoim obywatelom, nie chce grać według nakazów wielkich mocarstw i nie rezygnuje z koncepcji państwa narodowego – tym właśnie PiS jest dla wielu z nas, krajów, które dzielą podobny los, ale są mniejsze. Kiedy to piszę, ostateczny wynik wyborów jest wciąż niepewny. Jakikolwiek będzie, jedno jest pewne – zagwarantował **PiS-owi dalszą walkę**. W Europie jest wielu ludzi, którzy patrzą na tę walkę z nadzieją.

Goran Andrijić, wPolityce.pl, 16 października

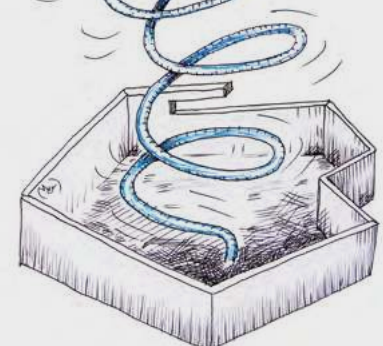
Jako największy niezależny ośrodek występujący w obronie konstytucyjnych wartości, dołożymy starań, aby mógł powstać rząd stanowiący demokratyczną gwarancję dla życia, rodziny i wolności oraz **chrześcijańskiej tożsamości Narodu**. Ale jesteśmy też gotowi, by stać się najważniejszym krytykiem i skutecznym oporem wobec rządu liberalno-lewicowego.

Jerzy Kwaśniewski, prezes zarządu Instytutu Ordo Iuris, deklaracja, 15 października

Nieustannie należy przypominać, że **Jan Paweł II** był nie tylko świętobliwym człowiekiem, ale także niestrudzenie stał **na straży rodziny**. Nie kłaniał się środowiskom, które chciałyby zniszczyć Kościół do akceptacji rozmaitych dewiacji. [...] Karol Wożyła do przejawów cywilizacji śmierci nie zaliczał wyłącznie zbrodniczych praktyk aborcji i eutanazji. Wśród przeciwników życia Jan Paweł II widział także wszystkich tych, którzy akceptowali i propagowali antyrodzinne rozwiązania – od żyjących w konkubinacie po promotorów homoseksualizmu.

Krzysztof Kratiuk, PCh24.pl, 15 października

WYBRAŁ KLECHA



Rys. MARCIN CHUDZIK

Nierozliczalna lekkość kitu

Osiem lat rządów PiS to oczywiście wino Tuska.

„Rozliczymy PiS z każdego łajdactwa, ze wszystkich ludzkich krzywd i tragedii, do jakich doprowadzili, sprawując władzę. Przrzekam” – zarzekł się od miesięcy Donald Tusk.

„Będzie to pierwsza ekipa po transformacji w Polsce, która zostanie rozliczona” – dodawała Lewica.

„Gamon, łajdaków i Gang Olsena rozliczymy, tworząc w sejmie komisję PiS, tak ją nazwiemy” – doprecyzowywał Szymon Hołownia.

Zarzuty już są. Beatę Szydło pod Trybunał Stanu za nieopublikowanie wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 3 grudnia 2015 r. Prezydenta Andrzeja Dudę, który przyjmował od dublerów ślubowania – też.

Mateusz Morawiecki ma odpowiadać za wybory kopertowe bez podstawy prawnej, które kosztowały 76 507 400 zł i „ostatecznie się nie odbyły”. Jacek Sasin za to samo. Ministrowie za rozporządzanie dotacjami i grantami według widzimisię, nie wspominając o niegospodarności i olewaniu procedur administracyjnych, trafić mają pod sąd. Tak samo prezesi instytucji, którymi zawiaduje państwo, a którzy na bakier z prawem finansowali partię lub jej ludzi.

Można ich pocałować...

No i fajnie. Tyle że z tych zapowiedzi prawdopodobnie nic nie wyjdzie. A wszyscy opowiadający o rozliczeniach mają tego świadomość. Wiedzą, że ściganie pisowców wymagałoby naginania prawa i łamania konstytucji. Czyli robenia dokładnie tego, za co chcieliby ścigać ekipę Kaczyńskiego.

Do połowy 2025 r. prezydentem pozostanie Andrzej Duda. Może wetować wszystkie ustawy. Ale jak chce, to odeśle każdy uchwalony nie po jego myśli akt prawny do Trybunału Konstytucyjnego.

Kadencja członków Trybunału są dziesięcioletnie. PiS będzie miało tam większość do roku 2028. Każda niepasująca partii Kaczyńskiego ustawa będzie więc niekonstytucyjna. A nawet jak nie będzie już pisowskiego prezydenta, to skargę konstytucyjną mogą złożyć posłowie PiS. A Trybunał taką ustawę wyśle w kosmos. Co mają ustawy do ścigania? Już wyjaśniam.

Kadencja prokuratora krajowego kończy się w marcu 2026 r. Wcześniej może być odwołany tylko za zgodą prezydenta. Można by to zmienić ustawą, która jednak nie będzie miała szans ani u Dudy, ani w TK. Czy można zatem liczyć, że jakiś prokurator postawi zarzuty pisowskiemu nominatowi, czy raczej, że umorzy sprawę z powodu braku dowodów na popełnienie nawet wykroczenia?

Pomysł Hołowni o powołaniu pisowskiej komisji wymaga oczywiście ustawy. Niepodpisalby dla Dudy i niekonstytucyjnie dla Trybunału.

Kraty przy orderach

Oprócz konstytucyjnego jest jeszcze jeden trybunał – stanu. Ma on dla każdej nowej powyborczej większości sejmowej jedną zaletę – jego skład zależy w znakomitej większości od sejmu. Izba wybiera go na początku swojej kadencji. Dokonuje on zaś żywota z końcem kadencji. Dzięki temu wiadomo, że wyroki Trybunału Stanu będą takie, jakich chce rządząca większość.

Na tym koniec dobrych wieści dla polityków i społeczeństwa żądnych odwetu na poprzednikach.

Żeby bowiem postawić przed Trybunałem Stanu prezydenta Dudę, trzeba zebrać Zgromadzenie Narodowe, czyli sejm i senat do kupy. A na dodatek „za” musi zagłosować dwie trzecie tego towarzystwa, czyli 374 członków zgromadzenia. Nie ma szans.

Postawienie pod Trybunał premiera czy ministrów nie wymaga facygowania senatu. Wystarczy sejm. Tyle że aby zaciągnąć tam Szydło, Morawieckiego czy Sasina, należy mieć w sejmie 276 chcących tego posłów. Przyjmijmy, że to się jakimś cudem uda, a sędziowie Trybunału Stanu orzekną, że panowie są winni. Takiego werdyktu nie może już nikt podważyć, a prezydentowi w tym

przypadku nie wolno korzystać z ulaskawienia.

Wyobraźmy sobie zatem, że Trybunał odbiera Beacie Szydło czynne i bierne prawo wyborcze, Beata Kempa za nieopublikowanie orzeczenia TK w 2015 r. traci order, odznaczenia i tytuły honorowe. Morawiecki za wybory kopertowe dostaje „zakaz zajmowania kierowniczych stanowisk i pełnienia funkcji związanych ze szczególną odpowiedzialnością w organach państwowych i organizacjach społecznych”, a na dodatek traci mandat poselski. Jacek Sasin zaś dostaje od Trybunału kilka lat pierdła, bo tyle za jego działalność można dostać z paragrafów kodeksu karnego. Bo TS jest w stanie kogoś ukarać, i to sensownie, a na dodatek do 10 lat od popełnienia przewiny. Pod warunkiem że naprawdę chce się kogoś przed nim postawić.

Tośmy sobie poudawali

To wcale nie jest takie pewne. Trybunał nie służy u nas do karania, ale do gadania o nim. Udowadnia to machanie szabelką pod nazwą Trybunał Stanu przed Kaczyńskim i Ziobrą w czasach, gdy rządziła PO. O tym, że Kaczyński i Ziobro mieli za usza-mi robenie sobie jaj z prawa, wiedzano przez ten cały czas. Ba, postawienie Kaczyńskiego i Ziobry przed TS to jedna z rekomendacji, jakie znalazły się w raportach komisji śledczej badającej okoliczności śmierci Barbary Blidy i komisji do spraw naci-

WPROWADZAMY PROGRAM WYPIERDALAĆ



Rys. TOMASZ WATERS

sków. Obie sporządziły sprawozdania grubo przed wyborami 2011 r. Klub SLD rozpoczął wówczas zbieranie podpisów pod wnioskami o postawienie Kaczyńskiego i Ziobry przed TS. Nie zebrał jednak wymaganej liczby 115.

Dlaczego nie rozliczono obu panów? „To nie jest najlepszy obyczaj, jeśli ktoś, kto ma władzę, biegnie z wnioskiem o TS dla swojego poprzednika-odpowiednika” – powiedział wówczas premier Donald Tusk. To jeszcze nic, bo w drugiej części spiczu dodał: „Mam jak najgorszą ocenę tego, w jaki sposób traktowali państwo premier Kaczyński i minister Ziobro wtedy, kiedy rządzili w Polsce, i z jakimi intencjami posługiwali się służbami państwowymi, prokuraturą. Natomiast nie mam przekonania co do tego, że nastąpiło tam jakieś rażące naruszenie prawa”.

Za słowami poszły czyny. W kolejnej kadencji w marcu 2012 r. szef klubu PO Rafał Grupiński informował, że „najdalej za dwa tygodnie położymy wnioski do podpisywania ponadklubowego”. Po co inne kluby, skoro by wniosek o TS był ważny, wystarczy 115 poselskich parafek, dużo mniej, niż liczył wtedy klub PO? Oczywiście po to, żeby sprawę przeciągać.

Z dwóch tygodni zrobił się listopad, ale jednak Grupińskiemu udało się złożyć przed sejmem wniosek o postawienie przed Trybunał Stanu Zbigniewa Ziobry i Jarosława Kaczyńskiego. Po ponad dwóch miesiącach wniosek trafił do komisji odpowiedzialności konstytucyjnej. Jej szef Andrzej Halicki już wtedy mówił, że komisja powinna w ciągu roku skończyć prace i jeszcze w czasie kadencji parlamentu jej rekomendacja powinna trafić pod głosowanie na sali plenarnej. Kadencja sejmu kończyła się jesienią 2015 r. Gdyby zapowiedź Halickiego się potwierdziła, sejm mógłby postawić prominentów IV RP przed Trybunałem Stanu 1,5 roku przed końcem kadencji. W tym czasie TS mógłby ich nawet skazać.

Platformę to waliło. Pierwszy wniosek o TS – dla Ziobry – trafił pod obrady sejmu na sam koniec kadencji pod koniec września 2015 r. Było to grubo po wyborach wygranych przez Dudę, gdy sondaż pokazywały, że dni rządów PO są policzone. Żeby Ziobro stanął przed Trybunałem, musiało zagłosować za wnioskiem 276 posłów. Zabrakło pięciu głosów. Platforma się rozjechała przedwyborczo, reszta niepisowców też. Rozliczenie Ziobry nikogo nie interesowało.

PiS w wyborach 2015 r. przejął parlament. Platformerskie rozliczanie prezesa wyraźnie ruszyło. Tym razem PO złożyła w sejmowej komisji odpowiedzialności konstytucyjnej wniosek o TS dla Kaczyńskiego szybko. Nie wiedzieli, że nie ma on szans? W grudniu 2016 r. komisja opowiedziała się przeciwko pociąganiu prezesa do odpowiedzialności. Sprawa stanęła jednak na posiedzeniu plenarnym sejmu w czerwcu 2017 r. Oczywiście pisowska większość ze śmiechem wniosek o Trybunał dla Kaczyńskiego wysłała w kosmos.

Gdyby prezes i Ziobro stanęli przed TS w 2013 r. nie byłoby pewnie PiS-u u władzy. Nie trzeba by – panie premierze Tusk – opowiadać, że tym razem PO kogoś za coś rzeczywiście rozliczy.

Czy Tusk wyciągnie wnioski i tym razem dobierze się do dupy, komu trzeba?

TADEUSZ JASIŃSKI

Trybunał stanu wskazującego

Dotychczas TS skazał wyłącznie dwie osoby. W roku 1989 r. wybuchła tzw. afera alkoholowa, która swój finał miała dopiero osiem lat później. Sprawa dotyczyła nielegalnego importu napojów alkoholowych masowo zalewających polski rynek. Szacuje się, że nieprawidłowości kosztowały skarb państwa ok. 1,7 bln starych zł.

Przed TS zostało wówczas postawionych pięć osób: Andrzej Wróblewski (minister finansów), Czesław Kiszcak (minister spraw wewnętrznych), Aleksander Mackiewicz (minister rynku wewnętrznego), Dominik Jastrzębski (minister współpracy gospodarczej z zagranicą) oraz Jerzy Cwiek (prezes Głównego Urzędu Ceł). Finalnie TS skazał dwóch ostatnich oskarżonych na utratę biernego prawa wyborczego przez pięć lat i zakaz zajmowania przez ten okres kierowniczych stanowisk w państwie. Pozostała trójka została uniewinniona.

W roku 2005 do odpowiedzialności konstytucyjnej za wadliwe prywatyzacje Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń S.A., Domów Towarowych Centrum S.A. oraz Telekomunikacji Polskiej S.A. został pociągnięty były minister skarbu państwa Emil Wąsacz. Sprawa po zawirowaniach natury formalnej zakończyła się ostatecznie w roku 2019 umorzeniem postępowania.

Zemsta, zemsta na wroga...

Każdy polski proeuropejski demokratą zemsta teraz dyszy. Za osiem lat gwałcenia jego „kwestii smaku”. Za czas totalnego ponizania i opluwania go przez media zwane ustawowo „publicznymi”. Czyli TVP.

Bo Polskie Radio, też ustawowo funkcjonujące jako „publiczne”, zostało przez swych pisowskich zarządców doprowadzone do stanu „niesłuchalności”. I dlatego o Polskim Radiu rzadko ktoś wspomina, bo mało kto go słucha i o nim pamięta.

Rzadko też wspomina się o innych opanowanych przez PiS mediach. Choć w praktyce to właśnie je „demokratyczna opozycja” może przejąć szybciej niż powszechnie znienawidzoną TVPiS Info.

Hop na papier

Jeśli opozycja, ta zwana „demokratyczną i proeuropejską”, zbierze sejmową większość i powoła swój rząd, to za jakieś dwa miesiące ów rząd zyska wpływ na Polską Agencję Prasową. To jest tak zwana jednoosobowa spółka skarbu państwa. Przekładając na ludzki język, oznacza to, że przyszły premier może szybko zmienić kierownictwo PAP. A nowe kierownictwo zmienić skład dziennikarski agencji. I wtedy zmienia się treści przekazywane w serwisach PAP.

Ponieważ z tych serwisów korzystają też zatrudnieni w TVP Info propagandiści PiS, to jasne jest, jak utrudni im to robotę. Będą otrzymywać wtedy inny, tym razem „prodemokratyczny i proeuropejski”, serwis informacyjny. Będą otrzymywać zupełnie inne komentarze i analizy, też „prodemokratyczne i proeuropejskie”. Generalnie w dłuższej perspektywie oferowane przez nowy PAP menu nie będzie smakowało zatrudnionym w TVP i Polskim Radiu propagandzistom PiS.

Nie będzie ono też smakowało kierownictwu prasy ogólnopolskiej i lokalnej, posiadanej przez koncern Orlen. Zakupionej od niemieckiego wydawcy w ramach propagandowej akcji „polo-

Niebo w burdelu

nizacji polskiej prasy”. Ponieważ Orlen też jest faktycznie „spółką skarbu państwa”, to nowy premier będzie mógł stosunkowo szybko zmienić prezesa tego koncernu. Czyli wywalić prezesa Obajtka na zbity pysk.

Wywalenie Obajtka spotka się zapewne z wielką radością społeczeństwa, bo wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że ceny benzyny na stacjach Orlenu i wszystkich innych teraz poszybują. Bo ileż można sprzedawać ją poniżej kosztów w ramach ukrytej kampanii wyborczej PiS.

Nowy prezes Orlenu jako kapitalistyczny właściciel tej prasy będzie mógł zmienić kierownictwo posiadanych tytułów. Nie piszę jakich, bo powstrzymuje mnie dziennikarska korporacyjna solidarność. Bywałem w dziennikarskim życiu wyrzucony z pracy i przyjmowany. Nie chcę też tu i teraz oceniać zasług prasy orlenowskiej dla kampanii wyborczej PiS.

Ale jako aktywny politycznie obywatel wiem, że w marcu przyszłego roku będą wybory samorządowe. I zaraz potem wybory do Parlamentu Europejskiego. A wtedy partie „demokratyczne i proeuropejskie” będą potrzebowały jak kania dżdżu tych lokalnych gazet i ich portali internetowych posiadanych przez Orlen.

Poza tym wywalenie Obajtka zapewne zaspokoi częściowo pragnienie zemsty „demokratycznych

i proeuropejskich” obywateli naszego przepięknego kraju. Bo Obajtek ciężko pracował na swą niepopularność.

Jednak pełna zemsta środowisk „demokratycznych i proeuropejskich” nastąpi dopiero wtedy, kiedy polecą znane wszystkim głowy z TVPiS.

Hop na publikę

Wbrew gromkim kampanijnym zapowiedziom liderów partii „demokratycznych i proeuropejskich” przejęcie mediów ustawowo zwanych „publicznymi” nie będzie ani szybkie, ani łatwe. Prawdopodobnie będzie wymagało zmian ustawowych, a to wymaga parlamentarnego czasu.

Zapewne potem nie będzie problemów ze znalezieniem kandydatów na prezesów tych mediów. Zwłaszcza kierownictw programów Polskiego Radia. Posady w programach niszowych nie są co prawda wielce pieniądze, ale komfortowe. Człowiek nie musi się tam narobić, by żyć na przyzwoitym poziomie. Pod warunkiem rezygnacji z popularności, internetowej sławy.

Zróbcie sobie teraz test – zapytajcie się: „Czy znam aktualne kierownictwa programów Polskiego Radia?”. I jeszcze: „Czy znam aktualnych radiowych Holeczą i Rachonia?”.

A to właśnie propagandowe twarze PiS, jak pani Danuta Holecka, Michał Adamczyk czy Michał Rachoń, skupiają na sobie zemstę wygranej opozycji. Ich pierwszych usunę z anten, rzucając na propagandowy żer, aby obywatele RP nie musieli ich dalej oglądać.

Niestety potem pojawi się poważny problem, co dalej zrobić z tymi „publicznymi” mediami. Przez osiem lat rządów PiS kanały informacyjne TVP stały się telewizją partyjną. Pozostałe zostały popularnymi kanałami programowo skierowanymi ku najniższemu gustom widzów.

Dzięki temu TVP jest telewizją intelektualnie głupią, ale popularną. Przede wszystkim wśród wyborców PiS. A tych jest ponad 7 mln w naszym kraju.

Łatwo więc będzie zmienić propagandowe twarze w TVP Info. Trudniej już będzie przemodelować program przyszłej TVP, aby spełniała ustawowe warunki mediów „publicznych”. Czyli rzetelnie informowała, edukowała, była instytucją kultury.

Trudno będzie znaleźć nowych widzów dla niej, skoro młode pokolenie generalnie tradycyjnych telewizji nie ogląda.

Może się zatem zdarzyć, że po odzyskaniu przez koalicję partii „demokratycznych i proeuropejskich” rząd tak zmieni się oferta programowa TVP, że jej dotychczasowi widzowie, czyli sympatycy PiS, masowo przejdą do prywatnej Telewizji Republika należącej do zasobów propagandowych PiS i obficie zasilonej finansowo przez formalnie jeszcze istniejący rząd PiS.

A wielu nowych tradycyjnych „demokratycznych i proeuropejskich” widzów nowa TVP nie pozyska, bo oni z przyzwyczajenia oglądają TVN i Polsat.

I w ten sposób popularna TVP stanie się telewizją niszową. I taki może być koniec „publicznej” telewizji w naszym kraju.

We Francji po 1945 r. też demokratyczne i patriotyczne społeczeństwo chciało zemsty za kolaborację złych Francuzów z Niemcami. Wtedy rząd postanowił ich ukarać. Szukano ich. Padło na burdele, bo obsługiwały jawnie i masowo wojska niemieckie za pieniądze i kartki żywnościowe. I dlatego uchwalono ustawę o zamknięciu legalnych burdeli we Francji. Oczywiście francuskiej prostytucji nie zlikwidowano. Wygnano jedynie panienki z ciepłych pokoiów na ulice. Teraz są w internecie.

PIOTR GADZINOWSKI

W państwie PiS o tym, czy ktoś jest winny, czy nie, decydował nie sąd, ale prokurator.

Najstraszliwsza armia Europy

Gdy na początku lipca pisałem o aferze w jednostce zaopatrującej całe polskie wojsko w sprzęt medyczny i lekarstwa, nie wierzyłem moim informatorom, że nikomu z zamieszanych włosów głowy nie spadnie. Myliłem się.

Monitoring mrozący

Szło o to, że w Celestynowie działa Wojskowy Ośrodek Farmacji i Techniki Medycznej (WOFiTM). Ponieważ od służących tam fachowców zależy życie i zdrowie dziesiątek tysięcy żołnierzy, zdawać by się mogło, że tamtejsze procedury są idealne, a nad ich przestrzeganiem czuwają ludzie o najwyższym poziomie profesjonalizmu i etyki.

Tymczasem w lipcu 2021 r. wymieniono mającą powiadamiać o spadku temperatur w lodówkach sieć komórkową Plusa na Orange. Tyle że nowe karty nie miały zasięgu, więc informacji czujników o awariach nikomu nie przekazywały. W maju zeszłego roku jedna z lodówek się popsuła. Wykryto to po kilku dniach, bo zapisy czujników pokazały, że doszło do zabójczego przemarzenia przetrzymywanych w lodówce szczepionek. Po czymś takim szczepionki nie nadawały się do niczego i natychmiast powinny zostać zutylizowane. Taki rozkaz nie padł. Gdyby zatem była konieczność ich użycia, to pewnie zaszczepiono by nimi wojaków.

Popsute szczepionki, warte kilkanaście tysięcy złotych, leżały w lodówce i czekały na to, żeby za dwa miesiące skończył się ich termin ważności. Wtedy bez problemu i bez wstydu można by je było zniszczyć. Niestety dla dowództwa WOFiTM po miesiącu od awarii przyszli kontrolerzy i sprawa się wydała. Oczywiście szefostwa jednostki, które odpowiadało za wprowadzenie dysfunkcyjnego systemu nadzoru, nikt nie czepiał. Kozłem ofiarnym został dyżurny w czasie awarii niemający o niczym pojęcia podoficer.

Żołnierz opisał wszystko w notatce służbowej. „Podczas instruktażu do służby [...] nie zostałem poinformowany, a także nikt nie przekazał mi informacji o kontroli systemu sprawdzania temperatur w lodówkach, w których przechowywane są leki”.

Jak mówili współpracownicy komendanta Celestynowa, facet miał mieć świetne układy z wojskowymi śledczymi. I nie wahał się ich użyć, próbując zmienić stanowisko dyżurnego podoficera. Powstała instrukcja zachowania się w przypadku awarii, a podoficer miał nie wspominać o braku przeszkolenia. Nie wyszło. I to na tyle, że żandarmeria zaczęła przyglądać się innym aspektom działania komendanta.

Okazało się, że facet wykorzystywał samochód służbowy z kierowcą w celach prywatnych. Ruszał w Polskę służbowym wozem z kierowcą nocą, a nawet z takiego wojażu wracał, i to w stanie wskazującym na mocną niedyspozycję objawiającą się problemami z utrzymaniem równowagi. O tym wszystkim mówili świadkowie oraz zapis z kamer monitoringu. Żandarmi nie czepili się chybotliwości – bo po godzinach wolno ją mieć nawet komendantowi – ale tego, że w kwitach rozliczających kursy stało, że służbowe auto jeździło nie w środku nocy, ale za dnia, w czasie godzin pracy. Za to właśnie komendant stanął pod zarzutami niegospodarnego dysponowania środkami.

Ścieżka szybkiego umorzenia

Żandarmeria po przeprowadzeniu śledztwa przekazała sprawę prokuraturze warszawskiej. „Postanowieniem prokuratora z dnia 20 lutego 2023 r. zostało wszczęte śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień lub niedopełnienia obowiązków na terenie Wojskowego Ośrodka Farmacji i Techniki Medycznej w Celestynowie w zakresie nadzoru nad sposobem przechowywania szczepionek oraz wykorzystania pojazdu służbowego przez ustalonych funkcjonariuszy publicznych – oficerów z wymienionej jednostki wojskowej” – tak brzmi fragment oficjalnego pisma wydziału wojskowego prokuratury.

W podwładnych komendanta wstąpiła nadzieja. Jednak gdy przekazałem im, iż prokuratura warszawska poinformowała mnie, że „postępowanie [...] zostało w dniu 5 kwietnia 2023 r. przekazane do dalszego prowadzenia Wydziałowi ds. Wojskowych Prokuratury Okręgowej w Krakowie”, to miny im zmieniły. Na nic były moje tłumaczenia, że pewnie warszawscy śledczy chcą być od sprawy wysoko ustosunkowanego oficera jak najdalej, żeby można było robić wszystko lege artis i się nie podłożyć. Moje wiewiórki stwierdziły, że jak coś trafia do prokuratury w Krakowie, to po to, żeby sprawie ukrecić łeb. Nie wierzyłem. Nawet wtedy, gdy nikt z Krakowa nie pofatygował się, by odpowiedzieć na pytania o postępowanie śledztwa.

Nie wzbudziło mojego niepokoju nawet to, że facet, nad którym od kilku miesięcy oficjalnie pracowały

żandarmeria i prokuratura wojskowa, przez co nie powinien być brany pod uwagę przy jakiegokolwiek nominacji, został w czerwcu powołany powtórnie na kolejną kadencję szefa WOFiTM. Liczyłem, że podlegli Ziobrze prokuratorzy niekoniecznie zagrają tak, jak chcieliby wojskowi przyjaciele komendanta podlegli Błaszczakowi. Nie chciało mi się wierzyć, że czwartorzędny dowódca może mieć rację, chwalać się takimi koneksjami, że nikt nie ma prawa go ruszyć.

Mocno się myliłem. Wiewiórki z krakowskiej prokuratury podesłały mi kwit. Stoi w nim, że „postanowieniem prokuratora z dnia 04.09.2023 r. umorzono śledztwo w sprawie:

1. niedopełnienia obowiązków w okresie od 23 lipca 2021 r. do 2 stycznia 2023 r. przez Komendanta Wojskowego Ośrodka Farmacji i Techniki Medycznej w Celestynowie oraz dwóch innych ustalonych oficerów, pełniących zawodową służbę wojskową we wskazanym Ośrodku w zakresie sprawowania nadzoru nad sposobem przechowywania szczepionek i systemem powiadamiania o spadku temperatury w lodówkach, w których przechowywane były te szczepionki, w wyniku czego doszło do niekontrolowanego przekroczenia temperatury w lodówkach i w konsekwencji do konieczności utylizacji przemrożonych szcze-

pionek o łącznej wartości 13 488 zł – wobec braku znamion czynu zabronionego.

2. samowolne wykorzystywanie w bliżej nieustalonym okresie, ale do dnia 2 stycznia 2023 r. wojskowego pojazdu służbowego w postaci samochodu Opel Insignia o nr. rej. [...], będącego na stanie Wojskowego Ośrodka Farmacji i Techniki Medycznej w Celestynowie przez Komendanta wyżej wymienionego Ośrodka, z uszczerbkiem dla interesów służby lub w celu osiągnięcia korzyści majątkowej – wobec stwierdzenia, iż czynu nie popełniono”.

Prokuratura ostateczna

Monitoring, zeznania, dowody w postaci dokumentów kontrolnych i notatek służbowych oraz mnóstwo pracy żandarmerii okazały się psu na budę. Komendant Celestynowa jest jak lelija. Władza nominująca pułkownika na komendanta nie może się przeciwieć myśli.

Prokuratorom w podjęciu decyzji o umorzeniu postępowania nie przeszkodziło nawet to, że media patrzą im w tej sprawie na ręce. Podwładni Ziobry udowodnili, że są dziś ważniejsi niż sędziowie. To od nich zależy, czy ustosunkowany oficer, minister, prezes, czy szef jakiejś państwowej instytucji w ogóle przed sądem stanie.

Nie sędziowie, lecz ludzie podlegli Zbigniewowi Ziobrze decydowali, czy przekręt jest przekrętem, złodziejstwo złodziejstwem, a łapówka łapówką.

I w zależności od potrzeby towarzysko-politycznej, mając te same dowody, mogli równie dobrze napisać akt oskarżenia, jak i stwierdzić, „iż czynu nie popełniono” lub „nie nosi on znamion czynu zabronionego”.

Zupełnie inną sprawą jest to, jak w tak działającej jak w Celestynowie polskiej armii ma zostać wydane 158,9 mld zł, czyli 4,2 proc. PKB. Bo tyle ma w przyszłym roku pójść z budżetu na były resort Błaszczaka. Kto nim teraz będzie kierował, dopiero się okaże.

TADEUSZ JASIŃSKI

Lepiej sprawdzić, kto leży w trumnie.

W Stanach Zjednoczonych na bardzo dużej próbie rodziców i dzieci przeprowadzono badania DNA. Wyszło z nich, że ok. 12 proc. potomstwa nie było biologicznymi potomkami swoich tatusiów. Ba, prawie 0,5 proc. dzieci nie miało nic wspólnego genetycznie z żadnym z rodziców. Zostały bowiem po porodzie zamienione. Do podobnych podmianek dochodzi po śmierci. Pracownicy zakładów pogrzebowych szacują, że nawet co dziesiąty zmarły nie leży tam, gdzie jest jego grób.

Inwazja zamieniaczy ciał

W proch nieobróceni

Trzy tygodnie temu w szpitalu w Kielcach w tym samym czasie zeszyły dwie osoby. Zeszyły z tego świata. Pan i pani. Pan przed śmiercią zażył sobie kremacji. Pani wręcz przeciwnie. Po ciału kobiety w szpitalnej kostnicy stawiał się gość z zakładu pogrzebowego. Na wózku przywieziono mu to, co miał na kartce. Spakował zwłoki do auta i zawiózł do firmy. Firma zrobiła wszystko na cacy i zawiozła na miejsce ostatniego pożegnania.

Żałobnicy otworzyli trumnę i zamiast podziwiać robotę funeralników, zakrzyknęli pod niebios. Nie spodobało im się, że zamiast matki, babci, cioci i sąsiadki w trumnie był facet.

Po przerwie, w czasie której zwłoki odtransportowano do lodówki, na katafalku pojawiła się urna. Żałobnicy popomstwowali, poporuszali wąsami, podzielili się wątpliwościami co do tożsamości prochów, a nawet zawiadomili policję, ale ceremonię dokonczyli.

Policja rozpoczęła czynności. Czyli wezwała córkę nieskremowanego mężczyzny. Kobieta miała wątpliwą przyjemność czwarty już raz identyfikować zwłoki ojca, które – jak sądziła – w proch się obróciły.

Wspólnym mianownikiem obu rodzin jest to, że zapowiedziały, że tej sprawy tak nie zostawią. Bo naruszono ich ból, żalobę, godność śmierci i inne wzniosłe emocje.

Niemal dokładnie taki sam scenariusz miał rok temu pogrzeb w Elblągu. Z tą wszakże różnicą, że obaj nieboszczycy byli płci męskiej. Jeden miał być spopieleny, a drugi rozkładać się ekologicznie.

„Garnitur, koszula, buty, wszystko się zgadzało oprócz najważniejszego: ciała” – relacjonowali mediom bliscy sytuację po otwarciu trumny.

Zrobiła się chryja. Zakład pogrzebowy przysłał się do pomyłki i zaproponował rekompensatę za zaistniałą sytuację – rezygnację z zapłaty za wykonaną usługę i postawienie na koszt firmy wybranego przez rodzinę pomnika zmarłemu. Nieutuleni w żalu na to nie poszli. Zażądali 100 tys. zł rekompensaty w zamian za niepowiadomienie o zdarzeniu policji i mediów. Firma pogrzebowa nie chciała becelować aż takiej kasy i policja wszczęła postępowanie pod kątem zbezczeszczenia zwłok. Bo jak stanowi art. 262 kk, „kto znieważa zwłoki, prochy ludzkie lub miejsce spoczynku zmarłego, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”.

Kult zmarłych

W kwietniu mieszkająca pod Łukowem rodzina pracującego w Niemczech 56-letniego mężczyzny dostała informację, że ich krewny zmarł. Na naradzie rodzinnej ustalono, że organizacją pogrzebu zajmie się jeden z miejscowych zakładów. Ten podzlecił innej firmie – zajmującej się międzynarodowym transportem zwłok – zaimportowanie ciała nieboszczki.

Obie firmy zrobiły swoje. Nieutuleni chcieli jednak zajrzeć do trumny i polecili ją otworzyć.

Ciąg dalszy zdarzeń prokuratura relacjonowała tak: „Podczas pogrzebu okazało się, że to nie są zwłoki ich najbliższej osoby. Postępowanie zostało wszczęte na podstawie informacji, którą uzyskaliśmy od rodziny zmarłego. Wynikało z niej, że zwłoki jednego z członków rodziny zostały przetransportowane z Niemiec początkowo do innego miasta w Polsce, a następnie trafiły do zakładu pogrzebowego w Łukowie”.

Potem wyszło, że jednocześnie z Niemiec były transportowane dwie osoby, które na etapie przewożenia zostały pomyłone. A poza tym nieboszczyk z Łukowa został skremowany i pochowany.

Obwieszczając to, prokurator zdecydował o umorzeniu postępowania, twierdząc, że zamiana zwłok miała charakter przypadkowy, czyli nie doszło do znieważenia ani umyślnej zamiany zwłok, tylko do pomyłki.

Do rodziny pomyłonego nieboszczki zaczęli pukać prawnicy. Chcieli, by familianci zmarłego dochodzili za zaistniałą sytuację zadośćuczynienia. Wykoncypowali, że rodzina doznała przecież krzywdy polegającej na naruszeniu dobra osobistego – prawa do tzw. niezakłóconego kultu osoby zmarłej. Moda na takie roszczenia jest stosunkowo świeża, bo rozkwitła na tle pogrzebów ofiar katastrofy smoleńskiej. I idących w miliony złotych zadośćuczynień.

Nieidentyfikowalne

W połowie sierpnia pod Chodlem zginęły w wypadku drogowym trzy wiekowe aktorki miejscowego teatru. Ponieważ rodziny się nie dogadały, to każda z pań miała być chowana osobno. Pierwszą z nich w ostatnią drogę odprowadzono w sobotę.

W poniedziałek przy pochówku drugiej skonstatowano, że w trumnie jest pani od dwóch dni nominalnie spoczywająca w grobie.

No i się zaczęło. Ekshumacja, a nawet dochodzenie prokuratorskie. Zresztą bardzo szybko zakończone. Zakład pogrzebowy został oczyszczony z wszelkich podejrzeń. Jako powód zamiany ciał prokurator podała „nieprawidłowości związane z organizacją pochówku”, w tym pomyłkę przy wydaniu ciał rodzinie. Nie doszło również do zbezczeszczenia zwłok.

Właściciel zakładu pogrzebowego mówił mediom, że ciała ofiar będące w gestii prokuratury zostały przekazane jego firmie już z nazwiskami, a nie istniała możliwość dalszej weryfikacji otrzymanych informacji.

O wiele ciekawsza jest jednak wersja prawnika rodziny pomyłonej nieboszczki. „Nie ustalono bowiem tożsamości zwłok ani na miejscu zdarzenia (co było obligatoryjne), ani w toku innych czynności procesowych. Osoby najbliższe, w szczególności mąż zmarłej, były obecne na miejscu zdarzenia, kiedy trwały jeszcze czynności procesowe. Chciałby dokonać identyfikacji zwłok. Nie został dopuszczony do udziału w czynności, co już stanowi naruszenie przepisów prawa” – napisał prawnik i ruszył na wojnę z organami ścigania. Koledzy prawnika uważają, że kwoty, których się winien domagać od skarbu państwa, muszą mieć co najmniej pięć zer na końcu.

Bierz trumnę i w nogi

W Radomiu na cmentarzu komunalnym pochowano matkę pana Marcina. Facetowi coś nie pasowało już w trakcie pogrzebu, bo miejsce nie wyglądało jak to, które wykupił. Złożył jednak te odczucia na karb emocji i tego, że wszystkie cmentarze są takie same. A na dodatek pracownicy zakładu pogrzebowego pokazali mu kwity, że wszystko jest, jak być powinno.

Doczesne szczątki matki złożono do grobu. Zamurowane płytą, a całość obłożono wieńcami i świeczkami. Żałobnicy udali się na stypę. I rosół omal nie stanął im ością w gardle, gdy ktoś spóźniony dotarł i powiedział, że nieboszczkę wyciągnięto z grobu i przeniesiono do innego. Czyli pan Marcin miał rację. Potwierdziły to rozmowy w biurze cmentarza. Walnęła się firma pogrzebowa. Jej szefowa zamiast numeru grobu 19 wpisała 9.

Pan Marcin zawiadomił prokuraturę o znieważeniu zwłok przez pracowników zakładu pogrzebowego, którzy dokonali ekshumacji bez wiedzy rodziny. Prokuratura umorzyła śledztwo z powodu braku znamion czynu zabronionego. Jak uzasadniła, do przestępstwa znieważenia zwłok dochodzi, kiedy sprawca umyślnie chce znieważać ciało zmarłego, a w tym przypadku, zdaniem śledczych, tak nie było.

Prokurator zapisał, że właścicielka zakładu pogrzebowego zeznała, iż pomyliła się w dokumentach, które przekazała pracownikom, i decyzję o przeniesieniu trumny podjęła sama. Ale, jak zapewniała, odbyło się to z godnością i poszanowaniem.

Teraz pan Marcin może iść do sądu cywilnego po zadośćuczynienie za straty emocjonalne. I ma szansę na niezły pieniądź, skoro sześć lat temu Sąd Apelacyjny we Wrocławiu przyznał je w wysokości 20 tys. zł tylko za to, że zakład pogrzebowy przez pomyłkę spopielił nieboszczkę, i to na dodatek w kupionej na okoliczność zwykłego pochówku garsonce...

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Ostatni tydzień, a już miniony, upłynął na biadoleniu, że Polacy wytwarzają za dużo elektrośmieci. 8 kg na głowę. 340 tys. ton w sumie przez rok. Zarzut nietrafiony. Sprawą należałoby zainteresować producentów telewizorów, pralek, wibratorów i serwisów do kawy. Być może to pomoże.

■ Policjanci z Wałbrzycha wykryli w mieszkaniu 66-letniej kobiety doniczkę ze sporej wielkości krzewem konopi indyjskich. Właścicielka doniczki utrzymywała, że to nie konopie, tylko winogrono. Był to zarazem największy sukces wałbrzyskiej policji od kilku miesięcy.

■ Na Wydziale Rolnictwa i Biotechnologii Politechniki Bydgoskiej inż. Piotr Licznarski obronił pracę doktorską pod tytułem: „Wpływ promieniowania jonizującego na barwę siwek oraz zmiany biochemiczne i molekularne u wybranych gatunków kaktusów”. Ważkość tej informacji polega na tym, że dr Licznarski zamknął swój przewód doktorski w wieku 75 lat. Badania prowadził przez 50 lat na 8 tys. gatunków i odmian kaktusów. W sumie

hoduje 1,5 mln kłujących roślinek w przydomowym tunelu foliowym.

■ Przy drodze w miejscowości Reszki (województwo warmińsko-mazurskie) postawiono stracha na wróble, który wyglądał z daleka jak policjant ruchu drogowego. Miało to spowodować spowolnienie samochodów jadących z nadmierną prędkością przez wieś po nowo wyremontowanej drodze. Spowodowało. Jednak nie spodobało się prawdziwym policjantom. Sprawca drewnianego policjanta został ustalony i pouczony, że nie można stawiać obiektów trwale związanych z ziemią w osi pasa drogowego bez stosownego zezwolenia. Strachopolicjant znikł.

■ Studenci Uniwersytetu Warszawskiego protestowali pod hasłami: „Tanie akademiki dla każdego”. A to dlatego, że akademiki są drogie i nie dla każdego. W ramach protestu poszli spać do Biblioteki Uniwersyteckiej. Była to pierwsza tak duża frekwencja w tym obiekcie dydaktycznym uczelni od 30 lat.

■ W Zakopanem spadł pierwszy śnieg. Temperatura na Kasprowym Wierchu wynosiła minus jeden stopień. Już nie warto tam jechać.

■ Wrocław jest krajowym pionierem we wspieraniu zielonych inwestycji na dachach i ścianach budynków, pisze o sobie Wrocław na witrynie internetowej. Pionierstwo to polega na tym, że jeżeli zasiejiesz sobie trawę na całym dachu lub puścisz bluszcz po ścianie

i złożysz stosowny wniosek, możesz uzyskać ulgę w podatku od nieruchomości wynoszącą nawet 100 proc. Z ulgi wymyślonej przez radnych pięć lat temu korzysta już 56 osób. Uchwała obowiązuje do końca 2027 r. We Wrocławiu jest ok. 250 tys. mieszkań.

■ Grupa Żywiec zaapelowała do rolników w kwestii braku jęczmienia browarnego do produkcji piwa. Rolnicy półgębkiem – bo anonimowo – utrzymują, że jęczmień jest. Problem w tym, że kontraktorzy za jęczmień browarny chcą płać jak za jęczmień jary – co czyni jakąś znaczącą różnicę. Dobra informacja wynikająca z tej złej informacji jest taka, że piwo Żywiec nadal robi się z jęczmienia.



RYS. WIDOK

Sądząc po reakcji mojego organizmu po spożyciu ostatnio kilku butelek, nie miałem takiej pewności.

■ Wiesław Koza, kierownik Działu Konserwacji Muzeum-Zamku i parku w Łańcutcie, jest obrażony na bliżej nieidentyfikowanego bobra, który pałaszuje pnie zamkowych pomników przyrody. Koza się odgraża, że bóbr zostanie zlokalizowany, pojmany i eksmitowany w trybie pilnym. Narzeka zarazem, że w Polsce „nie ma zbyt wielu firm, które zajmują się odławianiem bobrów”. To pewnie dlatego, że zapotrzebowanie na tego typu usługi nie jest duże.

■ Mazowiecka Krajowa Administracja Skarbową i Centralne Biuro Śledcze Policji niechcący dokopały straży granicznej, odkrywając w Wyszowie nielegalny magazyn z 6,5 mln sztuk papierosów – wartości 5 mln zł – z białoruskimi znakami akcyzy. Oznacza to bowiem, że nasza wschodnia granica nie jest przesadnie dobrze chroniona nie tylko przed napływem nielegalnych imigrantów.

■ W Białymstoku natomiast z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet Wiejskich ponad 400 kobiet wiejskich spotkało się w gmachu Opery i Filharmonii Podlaskiej na gali „Agro Kobiet”. Kobiety wiejskie opiewały zalety życia pośród pól i łąk. Natomiast wicemarszałek województwa Sebastian Łukasiewicz tłumaczył, że „nie wyobraża sobie wsi bez kobiet”. Niepodobna przejść wobec tego odkrywcze go spojrzenia obojętnie. My tak w ogóle nie wyobrażamy sobie świata bez kobiet. W koń-

cu wszyscy znaleźliśmy się tutaj za ich przyczyną i sprawstwem.

■ Prezydent Suwałk Czesław Renkiewicz wyjawiał, że miasto będzie miało własny samolot. Na razie taki, który nie może latać. Niech się mieszkańcy przyzwyczajają, a nie od razu hop na głęboką wodę. Renkiewicz wyjaśnił, że samolot załatwił miastu pochodzący z Augustowa wiceminister obrony narodowej Michał Wiśniewski. Owym samolotem będzie zdezelowana Iskra, szkolno-treningowy TS-11 pozyskany ze Szkoły Orłąt w Dęblinie, który ma stanąć przy suwalskim lotnisku, bo w Suwałkach mają także lotnisko. Lotnisko to jednakowoż, jak podkreślił prezydent, „cierpi na brak na zewnątrz elementów związanych z lotnictwem”, świadczących, że jest prawdziwym lotniskiem. Iskra bez silników stojąca na betonowym postumencie wpłynie na poprawę wizerunku suwalskiego lotniska jako lotniska.

■ Dyżurny Komendy Powiatowej Policji w Pszczynie skierował patrol interwencyjny na plac zabaw, gdzie dziecko chciało pogryźć psa marki amstaff, a ten chciał się odgryźć. Napastników rozdzielono. Dziecko trafiło do matki, a pies do Miejskiego Zakładu Ziełnic, gdzie mają takie specjalne urządzenia do strzyżenia żywopłotów na wypadkę, gdyby pies chciał jeszcze kogoś ukąsić.

R.J.

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych, więc nie muszą być prawdziwe, o czym wspominamy z ostrożności procesowej i ku rozważdze czytelników.

Sens bezsensu...

...czyli lepiej, aby było lepiej.

W obliczu smutnych informacji, jakimi epatowaliśmy w poprzednim numerze tygodnika, które dla nas były nie tylko informacjami, ale przykrymi, bolesnymi faktami, nie sposób nie oderwać się od prząsnej rzeczywistości. Upiływającej od pijaństwa do pijaństwa, przerywanej interwałami kaca i roboty, leczeniem zębów, naprawami samochodów, płaceniem rachunków, prowadzeniem bachorów do szkoły oraz tymi wszystkimi innymi doniosłościami, które w obliczu majestatu śmierci okazują się niewiele znaczące.

To jest taka chwila, kiedy chce się przystanąć. Znaleźć odpowiedź na zasadnicze fundamentalne pytanie: O co w tym wszystkim chodzi? O co chodzi wszystkim i każdemu oraz mnie samemu? Pytanie doniosłej wyrażone brzmi: Jaki jest sens życia?

Czy istnieje w ogóle jakiś uniwersalny sens, czy może każde istnienie jest w jakiś sposób obarczone innym sensem, a może to w ogóle nie ma sensu lub może jest tak, jak napisał niejaki George Carlin (amerykański komik): „Ledwo zrozumiałem sens życia, ten się zmienił”. Prowadzę szeroko zakrojone badania nad tą kwestią, głównie w oparciu o źródła pisane.

...

Przeczytałem „Człowieka w poszukiwaniu sensu” Viktora Frankla – żydowskiego psychiatry, który przeżył Oświęcim. Książkę przetłumaczono na 34 języki. Sprzedano 12 mln egzemplarzy. W Stanach Zjednoczonych zaliczana jest do dzieł najbardziej znaczących. Wysoko ją rekomendują, zwłaszcza jeżeli ktoś uważa, że „Raport” Witolda Pileckiego albo paraautentyczne powieści Stanisława Grzesiuka dają zrozumiały obraz rzeczywistości obozowo-koncentracyjnej. No, nie dają. Frankl dał świadectwo z większym znawstwem człowieczej natury.

Zaliczyłem też książeczkę Oprah Winfrey „To, co wiem na pewno” o tym, co uwielbiana przez 70 mln amerykańskich widzów gwiazda rzekomo wie na pewno. Nie polecam. Popis ignorancji dowodzący, że można wspiąć się na szczyt tego świata, zupełnie nie wiedząc, jak do tego doszło.

Przeczytałem wszystko, co napisał pierwszy ateista Richard Dawkins. Jego osią rozważań na temat sensu życia jest hipoteza, że w życiu chodzi o przekazanie genów (vide „Samolubny gen”). Dawkins usiłuje dowieść, że chodzi tylko o kolejną mutację DNA. Wszystko, co dzieje się przy okazji, to tylko uciążliwy i niepotrzebny wysiłek. Yhm? – nie wygląda źle, chociaż raczej przypomina to nonsens niż sens.

Wczytywałem się w chrześcijańskie księgi (św. Augustyn, ks. Rafał Wilk, Rémi Brague), z których wynika, że sensem życia chrześcijanina jest zbawienie duszy i powstanie z martwych, czego droga wiedzie przez cierpienie, niezadowolenie i pokutę. Tylko, kurwa, co to tak naprawdę znaczy, tego już nie udało się im wyłożyć i wyjaśnić. Czy niechrześcijaństwo obarczeni są tym samym sensem życia, nie mówiąc o ateistach? Po co to zmartwychwstanie, jeżeli to dusza ma być zbawiona?

Jeżeli chodzi o religie Wschodu, tam to jest przedstawione w sposób bardziej zrozumiały i logiczny, że chodzi o jednoczenie z jakimś absolutem.

Był jeszcze komunizm, któremu wbrew obecnemu powszechnemu obrzydzeniu dużo zawdzięczałem. Jego sensem istnienia było wytworzenie wyższej formy istnienia człowieczeństwa jako jednego człowiekowieżera składającego się z milionów osobników. Ta pospolicie nieznana idea komuny, tak wroga systemowi, jak i jego apologe, zakładała, że świadomość człowieka (twoja, moja) istnieje może w wielu organizmach naraz. Teza bardzo atrakcyjna. W gruncie rzeczy bliska wyznawcom bezbożnego cokolwiek buddyzmu (Budda nie był bogiem ani prorokiem).

...

Mimo tych swoich zabiegów pozostałem rozczarowany. Nie ma jednoznaczności. Hipotezy wzajemnie się wykluczają, choć również bywają koherentne i niejako się uzupełniają. W każdym razie w zasadniczej sprawie, jaki jest tego wszystkiego sens i cel, panuje chaos, który zaraz postaram się ujarzmić.

Celem i sensem życia, najważniejszą i jedyną przesłanką ludzkich działań w każdej sekundzie, wszędzie i zawsze jest LEPSZOŚĆ. Jedynym motytem naszego postępowania jest LEPSZOŚĆ, która ma prowadzić do właściwie pojmowanego dobra.

Dziś rano się obudziłem i pomyślałem, że lepiej by było, abym wstał. Potem uznałem, że będzie lepiej, jak zjem śniadanie. Wykąpałem się, żeby było mi jeszcze lepiej. Przeczytałem kilka artykułów w sieci, aby być lepiej poinformowanym. Przejdźmy do poważniejszych i donioślejszych niż moja własna LEPSZOŚCI.



Jarosław Kaczyński uznaje, że będzie lepiej jemu i wszystkim dobrze, jeżeli nadal będzie rządził tym krajem. Donald Tusk natomiast uważa, że będzie lepiej, jeżeli to on będzie rządził, a Jarosław wraz z tym jego całym rządem rządzeni będą przez strażników więziennych.

Adolf Hitler uznał, że będzie lepiej, jeżeli spali wszystkich Żydów wraz z ich troskami. Harry Truman rozkazał, że będzie lepiej, jeżeli spopielili się Japończyków, zrzucając na nich bombę atomową, a najlepiej dwie.

Inżynierowie konstruują coraz lepsze urządzenia, żeby było dobrze. Medycyna wymyśla coraz lepsze metody terapii, żeby było dobrze. Chcemy mieć lepsze mieszkania, samochody, meble, żarcie, wykształcenie, ubranie, zarobki. Lepiej wyglądać, mieć lepszych sąsiadów, lepszych przywódców.

Lepsze chodniki, lepszą drogę do roboty. Lepsze powietrze. Zaraz oderwę się od klawiatury, aby oddać moc, ponieważ od tego też mi się polepszy.

Nawet ludzie, których podejrzewamy o złe intencje lub psychopatyczne skłonności, tylko z pozoru o LEPSZOŚĆ nie dbają. Samookaleczający się ranią ciała, ponieważ jest to dla nich przyjemność. Chcą poczuć się lepiej. Pijak śpiący na ławce chciał, aby było mu lepiej, więc sięgnął po denaturat, na który wybrał przed supermarketem. Nawet samobójca, który zamierza się na najwyższą swoją własność, nie robi tego, aby było mu gorzej.

innego ważnego słowa w kontekście naprawdę przyjemnych okoliczności: boskość.

Nie mamy lepszego epitetu, aby pochwalić dobrego obiad, fantastyczne wakacje, jazdę dobrym samochodem czy upojną zabawę. Co więcej, ludzi, którzy mają lepiej albo naprawdę dobrze, zrównujemy z bogami. Boski Freddie, boska primadonna Maria Callas, o premierze Włoch Giulio Andreotti mówiono również, że jest boski. Natomiast Elvis Presley był bożyszczem kobiet.

Jakikolwiek mamy stosunek do istnienia czy nieistnienia Boga, faktem jest, że idea boskości zaprzętała umysły ludzkości od zarania dziejów. Była ważkim czynnikiem jej poczyni. Przez lepszość do błogości aż po boskość, rzecz można. Krzyżowcy mordowali niewiernych, bo tak było lepiej, w imię spodziewanej boskości. Hiszpanie wybili więcej Indian niż Hitler Żydów w imię lepszego boskiego świata. LEPSZOŚĆ widzimy w działaniach inkwizycji palącej ludzi na stosach w drodze do boskości. Kaczyński chciałby stracić takich jak ja do piekła („komuniści do diabła”), bo od tego byłoby lepiej, błogo i bosko.

...

Błąd, jaki w słusznych działaniach ku LEPSZOŚCI popełniamy, powodujący, że świat ten jest taki, jaki jest, polega na tym, że LEPSZOŚĆ chcemy osiągnąć cudzym kosztem w, powiedzmy, 50 proc. przypadków.

Najłatwiej zrobić sobie lepiej, kradnąc cudzy samochód. Aby osiągnąć lepsze wyniki finansowe firmy, najłatwiej zrobić to, oszukując swoich klientów. Lepiej jest, jeżeli naszą robotę wykona ktoś inny, ale nam za nią zapłacą. A gdy kogoś nie lubimy, to stanie się nam lepiej, jeżeli jemu będzie gorzej.

I tak sobie myślę, że wcale tak być nie musi. Rzeczywiście mogłoby być dobrze, a ten błogostan, do którego dążymy, nazywany od wymyślnego Pana Boga boskością, można by osiągnąć w tym życiu. Trzeba jednak polegać na sobie. Wybrać tę trudniejszą drogę do LEPSZOŚCI, zasadzającą się na nieszkodzeniu innym, poszanowaniu ich praw, które niczym nie różnią się od naszych własnych. Wszyscy mamy przecież ten sam cel, sens i ambicję. LEPSZOŚĆ.

...

I w końcu wróćmy do początku. Do naszych drogich zmarłych. W wieloboju ludzkiej LEPSZOŚCI rodzina Urbanów wzniosła się na naprawdę znakomity poziom. Przeglądałem się temu przez 27 lat. Nie powiem, że w tej drodze ku LEPSZOŚCI liczba poszkodowanych wynosiła zero. Nie wymagajmy niemożliwego. Czasami można zadeptać mrowkę zupełnie niechcący.

ROBERT JARUGA

REKLAMA

PROF. ADAM PROŃ
WŁADZA GŁODZI NAUKOWCÓW

HAMAS-IZRAEL
NIKT NIE JEST ŚWIĘTY

CO ROKU TONIE
KILKUSET POLAKÓW

OLGA ŻUKOWICZ
DOBRY SEKS 55+

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

PROF. ADAM PROŃ
WŁADZA GŁODZI NAUKOWCÓW

HAMAS-IZRAEL
NIKT NIE JEST ŚWIĘTY

OLGA ŻUKOWICZ
DOBRY SEKS 55+

CO PO WYBORACH

Ewa Woydyło-Osiatyńska
Problemy Polski nie znikną.
Będzie je miał ten, kto wygra

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ 16 października minęła 45. rocznica wybrania Karola Wojtyły białym papką w Watykanie. W Polsce ten dzień obchodzony jest jako Dzień Papieża Jana Pawła II. Tym razem minął kompletnie niezauważalnie ze względu na ekscytację wyborami do sejmu i senatu. Żaden w prawicowych „obrońców” czci JP2 i deklaratywnych kultywatorów pamięci po papce się na jego temat nie zająknął.

✦ „Nie sądzę, żeby po odsunięciu PiS-u od władzy i zmianie rządu nastąpił jakiś zwrot w relacjach państwo-Kościół” – powiedział w wywiadzie socjolog prof. Jacek Wódz. „Zmiana stosunku władzy do Kościoła musiałaby się bowiem wiązać z gwałtowną zmianą w obyczajowości polskiego społeczeństwa. Taka zmiana się dokonuje, ale powoli i stopniowo” – dodał socjolog. Polacy nadal zawierają śluby kościelne, chrzczą dzieci, posyłają je do pierwszej komunii. No i nadal obowiązuje konkordat. Szczere mówiąc, trudno jednak sobie wyobrazić, że obóz opozycji, który odsunie PiS od władzy, pozostawi stosunki państwo-Kościół na takim poziomie, na jakim były przez ostatnie lata. Byłby to wielki zawód dla dużej grupy wyborców.



PAPIEŻ BIJE KONIA

✦ Prof. Wojciech Polak, historyk, członek Kolegium IPN, z okazji Dnia Papieskiego zaapelował: „Mniej kremówek”. Przejadły się?

✦ Wojciech Cejrowski ogłosił, że papież Franciszek jest toksyczny, rozwala Kościół i on – Cejrowski – w związku z tym się dystansuje od Franciszka. Chodzi o papieskie sugestie, że błogosławiłby homoseksualistów i osoby pozostające w związkach homoseksualnych. No to niech Cejrowski homoseksualistów nie błogosławi. Jakoś będą musieli to przeżyć.

✦ Ks. Robert Piechocki z parafii we wsi Lewków w województwie wielkopolskim wywiesił na stronie internetowej listę dzieci, których rodzice nie dokonali opłaty „za bierzmowanie”. Mieszkańcy Lewkowa stwierdzili, że przesadził. A przecież powinni się cieszyć, że parafia, mimo że wiejska, ma własną stronę w internecie.

✦ Z okazji bierzmowania w parafii Szyski w diecezji płockiej bepe Mirosław Milewski zaapelował do młodzieży o zaniechanie „odjaniepawiania”. Cóż... Tego procesu już się raczej nie da odwrócić.

✦ 71-letni Stanisław K., emerytowany ksiądz, były proboszcz z Domostawy (w województwie podkarpackim), stanął w czwartek przed sądem w Tarnobrzegu za przywłaszczenie ponad 434 tys. zł. Ksiądz nie przyznał się do winy, ponieważ uważa, że pieniądze wzięte z konta parafii to rekompensata za jego wieloletni wkład na rzecz parafii.

✦ Proboszcz parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Wielkim Garcu (województwo pomorskie) podczas mszy świętej ogłosił, że kościół otrzymał 441 tys. zł z Rządowego Programu Odbudowy Zabytków. Jak dodał, wszystko za sprawą posta PiS Kazimierza Smolińskiego. „W przyszłości będą kolejne dotacje na dach kościoła” – stwierdził, a pomoc polityka w uzyskaniu pieniędzy porównał do cudu Jezusa. I niestety tutaj ksiądz się pomylił. Smoliński został posłem na kolejną kadencję, ale jego cudowne sprawczości znacznie osłabły wraz z utratą przez PiS realnej władzy.

KLECHA

Sakroryządność

Wolność każdego Polaka kończy się tam, gdzie zaczynają się fanaberie księży.

Jak ktoś ma domek z ogródkiem i jest Niemcem albo ma zły gust, to może sobie koło jabłunki postawić krasnała ogrodowego. Gipsową owieczkę czy bociana zresztą też. I jak ktoś takiego krasnała wartego stówę podpieprzy, to można poszczuć go policją za wykroczenie. Nie zmieni tej kwalifikacji fakt, że krasnał, owieczka czy bocian wylądują kilkadziesiąt metrów dalej w koszu na śmieci lub zostaną na czymś powieszzone. Nawet najsurowszy sąd nie może za taki czyn dołożyć więcej niż 30 dni aresztu lub 5 tys. zł grzywny.

Krasnał w powłóczystej szacie

A co, gdy krasnał, zamiast w ogródku, stoi w grocie ogrodowej na terenie parku zakonnego w Strzegomiu, jest kobietą i zamiast czapki i kubraczka ma chustę i powłóczystą suknię? Wtedy otóż odzywa się biskup świdnicki i pisze, że „doszło do profanacji wizerunku Matki Bożej. Figura Maryi została zabrana z przyklasztornej groty i powieszona niczym wisielec na pobliskim rusztowaniu”. Policja po otrzymaniu takiego zawiadomienia ma obowiązek stanąć na uszach i ująć winnego. Jednak winnego nie wykroczenia, ale uchybienia artykułowi 196 kk. Mówiącemu, że „kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch”.

Przed wieloma blokami, czyli w miejscu ogólnodostępnym, nudzący się mieszkańcy tworzą rabatki z kwiatami i krzewami. Czasem stosują też minirusztowania dla roślinek. Takie kratki udają nawet instalacje artystyczne. I jeśli na dopieszczonym skwerku wyląduje jakiś śmieć, to zawsze ktoś go sprytnie usunie, by po kilku sekundach już o tym nie pamiętać. Ale nie przed świątynią. Na bydgoskim Miedzynie przed kościołem św. Urszuli Ledóchowskiej stoi krzyż. Kilka miesięcy temu instalację tę ktoś przyozdobił, zawieszając na niej sznur w kształcie pętli. Gdy zobaczył to proboszcz parafii, to zamiast niepodobająco

mu się sznurek ściągnąć i wyrzucić, przebacząc osobnikowi, który nie wiedział, co czyni, wezwał policję. Nakazując ściganie kogoś, kto jego zdaniem popełnił grzech profanacji. Co prawda kodeks karny nie każe ścigać za grzechy, a przestępstwa profanacji też w nim nie ma, ale od czego art. 196?

Uczucia tęczą sprofanowane

Graffitiarze potrafią wkurzyć. Nabazgrzą coś sprayem na elewacji i trzeba to zamalowywać. Normalnego człowieka wkurzyłby już sam fakt śmignięcia po farbę za kilkadziesiąt złotych lub rozpuszczalnik i konieczność pomachania pędzlem, bo zabiera to jego cenny czas. Normalny człowiek nawet nie pomyślałby o wywaniu organów, bo samo składanie zeznań, a potem – nie daj Bóg – udział w jakimś procesie to kolejne zarwane dniówki.

Ale gdy w kwietniu w Łodzi pomnik JP2 został oblany farbą i strzelono na nim napis „Maxima culpa”, to łódzka policja i prokuratura dostały wścieku. Ścieranie farby trwało ok. godziny. Znacznie krócej niż monstrualne śledztwo w poszukiwaniu sprawcy. Ale i jego ujęto. Usłyszał zarzuty znieważenia pomnika i obrazy uczuć religijnych. Oczywiście zarzutów nie postawił ani znieważony pomnik, ani obrażone uczucia religijne, lecz prokurator.

To i tak nic w porównaniu z tym, co wymyślił w Kielcach tamtejszy biskup, gdy ktoś pomazał czerwoną farbą stację Drogi Krzyżowej z katedry na Karcówkę. A na dodatek strzelił nieudolny pentagram. Biskup nie wpadł na to, że ponieważ na elewacjach okolicznych budynków była ta sama farba i dziwne napisy, to sprawca po prostu jest chuliganem wariatem. Biskup Piotrowski sytuację wykorzystał do zrobienia czegoś z godnym Kościoła kieleckiego rozmachem. Zarządził, że na wszystkich mszach na terenie diecezji kieleckiej odbędzie się modlitwa wynagradzająca profanację kapliczki. I gdy wierni odśpiewywali suplikację (cokolwiek to jest) przed Najświętszym Sakramentem, policjanci główkowali, za co właściwie mają ścigać profana. Bo jeśli naprawa zniszczeń zostanie oszacowana na kwotę do 500 zł, sprawca będzie odpowiadał za wykroczenie. Natomiast jeśli straty zostaną wycenione na wyższą kwotę, to wtedy jest to przestępstwo, za które grozi do pięciu lat odsiadki. Czyli więcej niż za obrazę uczuć Drogi Krzyżowej.

Gdyby kogoś naszło i chciałby za ogrom swoich przewin poleżeć krzyżem w kościele, to zdawać by się mogło, że się kładzie i leży. Tak jak od setek lat czyniły tysiące wiernych. Okazuje się, że nie bardzo. Udowodniły to dwie osoby, z których jedna jest siostrzeńcem Morawieckiego. Weszły one do bazyliki św. Krzyża w Warszawie w tęczowych płaszczach. Przeszły grzecznie pod ołtarz i uwały się na posadzce z rozpostartymi ramionami.

Ksiądz uznał to za profanację i kazał im spadać. Całe szczęście, że nie wezwał policji. Leżenie krzyżem w kościele nie może być – według księży – ot, takie sobie. A w czasie mszy to już w ogóle. Bo co prawda uczestnictwo w niej jest praktyką religijną, w której udział jest realizacją prawa do swobodnego wyznawania religii, ale jako „akt liturgiczny” msza nie jest odprawiana w sposób dowolny. Są kościelne przepisy regulujące zachowanie nie tylko celebransu, ale także wiernych. I wszystko, co nie jest w regułach zapisane, staje się dla księży aktem profanacji.

W połowie sierpnia w Częstochowie przypadał szczyt sezonu pielgrzymkowego. Trzeba trafić, że akurat wtedy jest tam organizowany marsz równości. A że obok Jasna Góra, to uczestnicy marszu nieśli obraz Matki Boskiej w tęczowej aureoli. Obraz taki to oczywiście dla katolików profanacja. Stąd szarpanina i próba odebrania profanom obrazu. Skończyło się na tym, że – po

CZY TO PRAWDA, IŻ
JESTEŚMY BOHOMAZEM?
TAK, ALE SŁYNNYM!



konsultacjach z policją posługującą się nie obrazem, ale obrazą uczuć – obraz musiał zniknąć.

Święta zagrycha

Na Allegro tysiąc okraglutkich hostii w woreczku każdy może kupić sobie za 17,90 zł. Można sobie je wrzucać do mleka, układać w piramidki, a jak się przejedzą, to nakarmić nimi ptactwo okienne. No i spuścić w sedesie też można.

Ale gdy w Starachowicach do kościoła wstąpił dwaj jegomoście i z miejscowego kielicha mszalnego pili przyniesioną przez siebie gorzałę, a na dodatek zagryzali ją komunikantami, to błyskawicznie zajęła się nimi policja.

Gdy w Jaśle troje uczniów przechowało w ustach przyjęte od księdza komunikanty, a potem je wypłuli na kościelną posadzkę i zdeptali, to skończyli z zarzutami. Przynajmniej zdążyli choć trochę poprofanować. Pewna panna w Szklarskiej Porębie tyle szczęścia nie miała. Weszła co prawda do kościoła przez okno, ale gdy tylko z tabernakulum wyjęła komunikant, została zatrzymana.

Profanacja okraglutego opłatka to według prawa kanonicznego najcięższe z przestępstw. Komunikantu nie wolno z kościoła zabierać. Wolno go tylko zjeść – od razu. Przechowywanie hostii poza kościołem też jest złe. No i naigorsze profanum, jakiego można dopuścić się na opłatku, to jego porzucenie. Wypłucie znaczy. Każde z tych zachowań to dla księdza profanacja tak wielka, że nie zawahałby się zamknąć za nią człowieka na dwa lata. Choć dawniej z radością spaliłby takiego na stosie.

Sacrum kąpielowe

W krypcie kościoła pijarów w Krakowie w maju można było oglądać wystawę mody damskiej krakowskiego projektanta PLICH-a. Były na niej i torebki, i kostiumy kąpielowe. Krypta jest w swojej istocie cmentarzem. Chowano tam zakonników i ważne postaci związane z zakonem. Całe to towarzystwo leży tam zamurowane w ścianach.

Gdyby ktoś wpadł na pomysł zrobienia nawet sesji zdjęciowej kostiumów kąpielowych na cmentarzu, to proboszcz natychmiast ściągnąłby tam policję. Bo to przecież profanowanie poświęconej ziemi, godzenie w najgłębsze uczucia i Sodoma z Gomołą. Policja i prokurator nie zastanawiali się nawet minuty, bo przecież mają art. 196. Dlaczego zatem w krypcie pijarów żaden mundurowy się nie pojawił? Bo ludzie Kościoła byli organizatorami wystawy. A jak wiadomo, to nie policja, ani nawet nie prokuratura, ale właśnie duchowni są od tego, by oceniać, co jest, a co nie jest profanum.

No i wzywać gliniarzy, by ścigali każdego, dla kogo figurka z gipsu jest figurką z gipsu, opłatek – opłatkami, a pomazanie farbą – pomazaniem farbą.

TADEUSZ JASIŃSKI

O tym, jak Wojtyła kumpłował się z Pinochetem.

Ulubiony dyktator JP2

Pół wieku po zamachu stanu generała Augusta Pinocheta – wspieranym przez CIA i Opus Dei – Chile nadal nie może się pozbyć i rozdzierane konwulsjami, miota się od ściany do ściany. Obecnie wahadło przechyliło się mocno w prawo i w majowych wyborach prezydencka lewica zgarnęła ostry wpierdół od populistycznej skrajnej prawicy, tzw. Republicanos.

Być może Chile skończy z jeszcze bardziej chujową konstytucją niż ta z epoki dyktatora z 1980 r. Niewykluczone, że potężny w tym kraju Kościół katolicki będzie naciskał, aby wpisać do niej zakaz aborcji. Warto przybliżyć dość ciepłe relacje hierarchów z reżimem Pinocheta, których ukoronowaniem była wizyta JP2 w Chile w 1987 r.

Ale zaczniemy od krótkiego rysu historii partii prokościelnej w Chile.

Rozdarcie chadecy

Powstała w 1957 r. w Chile chadecja (partia CDP) starała się zajmować miejsce w centrum sceny politycznej, między silną radykalną lewicą (w tym komunistami) a reakcjonistami. Jak pisze w swej książce „The New Critique of Ideology. Lessons from Post-Pinochet Chile” Ricardo Camargo, centrum polityczne w Ameryce Łacińskiej lat 60. było mocno przesunięte w lewo. Wiele liderów CDP uznawało rewolucję społeczną za nieunikniony skutek koniecznych przemian, a jednocześnie obawiało się, co z niej wyniknie.

Początki CDP można znaleźć w grupie młodych studentów katolickich uniwersytetów. Starali się oni zachować dystans wobec lewicowych i konserwatywnych polityków, lecz krytykowali „grzech wyzysku człowieka przez człowieka”. CDP naznaczona była głębokimi tarciami frakcyjnymi, które nasiliły się za rządów prezydenta Salvadora Allende (1970–1973).

Początkowo chadecy w stosunku do socjalistycznego prezydenta ustawili się jako konstruktywna opozycja. Potem stawali się coraz bardziej krytyczni wobec administracji Allende. Oburzeniem zareagowało na to lewe skrzydło CDP ciągnące ku prezydentowi. Lewicowcy mieli poparcie studentów, robotników, kobiet, młodych profesjonalistów i środowisk chłopskich. W sierpniu 1971 r. doszło do secesji i na arenie politycznej pojawiła się Chrześcijańska Lewica.

CDP z jednej strony poparła nielegalny – i inspirowany przez CIA – strajk kierowców ciężarówek, który doprowadził kraj na skraj chaosu, z drugiej wciąż oficjalnie powtarzała, że lewicę można odsunąć od władzy drogą konstytucyjną i prawną. W gruncie rzeczy jednak – jak pisze Camargo – wybrany na lidera CDP w maju 1973 r. Patricio Aylwin nie zgodził się na bezpośredni rozmów z Allende pod auspicjami kardynała Raúl Silvy Henríqueza. Zamiast dialogu ze strony Aylwina pojawiło się stwierdzenie o „bezcelowym przedłużaniu rozmów, które tylko przyczyniają się do dezorientacji ludzi”.

To chadecja utorowała drogę do rozstrzygnięcia siłowego.

Jak dzieci we mgle

Gwoli ścisłości: nie ma dowodów na to, że CDP brała bezpośredni udział w zamachu Pinocheta 11 września 1973 r. Jednak większość jej liderów, łącznie z Eduardem Frei Montalvą (prezydentem Chile w latach 1964–1970), była zwolennikami przewrotu wojskowego jako jedynej rozwiązania kryzysu politycznego, gospodarczego i moralnego, który – ich zdaniem – rządząca lewica sprowadziła na kraj.

Nie było zatem zaskoczeniem, że po zamachu stanu przywódca chadeków zadeklarował „patriotyczne wsparcie” rządowi wojskowemu w jego dziele „odbudowy narodowej”. Do kwietnia 1975 r. oficjalna polityka CDP polegała na „technicznej” współpracy z reżimem, a chadecy obejmowali stanowiska w gospodarce. Były szef banku centralnego Jorge Cauas w 1974 r. objął ministerstwo finansów, stając się mózgiem zespo-

łu tzw. Chicago Boys, czyli grupy amerykańskich ekonomistów, która przygotowała w Chile neoliberalną terapię szokową.

Hańby dopełniało usprawiedliwianie przez antykomunistycznych chadeków represji wobec lewicy jako smutnej konieczności w procesie odbudowy kraju. Politycy CDP liczyli, że wojskowi szybko oddadzą władzę, która jak dojrzałe jabłko spadnie im wprost do rące. Kolaboracja z reżimem okazała się błędem, bo w ramach junty zwyciężyli twardogłowi, niechętni oddaniu władzy cywilom.

Chadecy zmienili kurs i uznali juntę za wredną dyktaturę. W ramach retorsji ludzie Pinocheta pod koniec 1974 r. aresztowali i wygnali z kraju przywódcę CDP Renána Fuentealbę. W marcu 1977 r. junta rozwiązała CDP. Chadecy później starali się zjednoczyć opozycję demokratyczną od centrolewicy po centroprawicę.

Skomplikowane relacje z chadekami nie oznaczają, że Pinochet – od czasu zamachu po swe długie i krwawe rządy – nie miał wsparcia konserwatywnych hierarchów i działaczy katolickich, zwłaszcza osławionego Opus Dei. Prominentny człowiek Opus Dei Hernin Cubillos został ministrem spraw zagranicznych za czasów junty.

I wtedy na białym koniu, a raczej w białym pamobile, przybył do Chile w 1987 r. JP2.

Fotka z dyktatorem

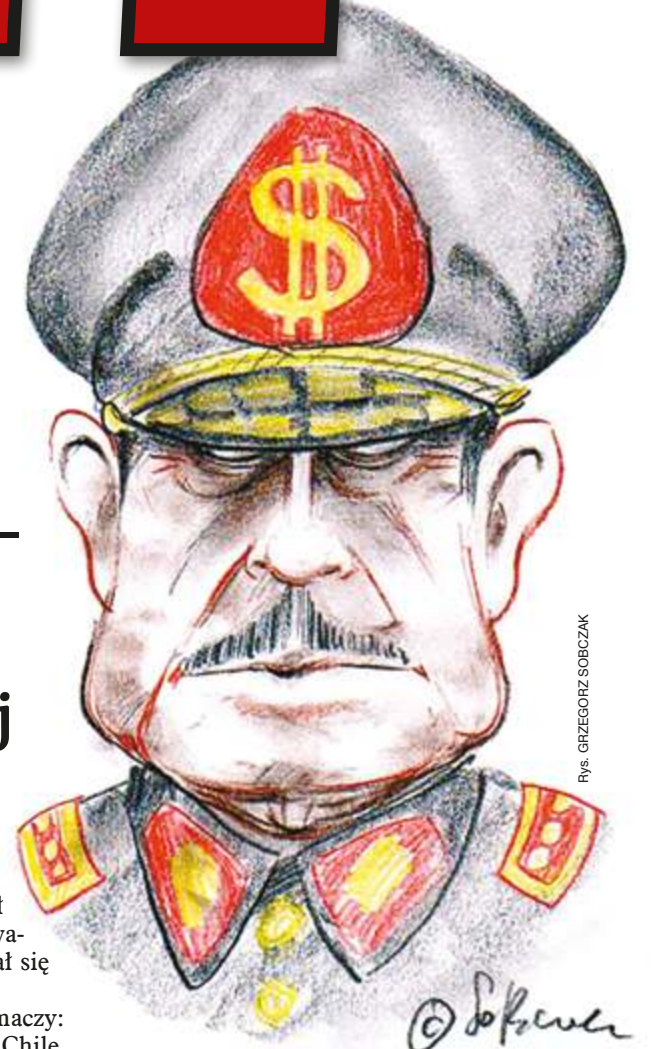
Znamienne, że polscy katole nie tylko nie wstydzą się wizyty Wojtyły u krwawego dyktatora, lecz jest dokładnie odwrotnie. Są z niej bardzo, ale to bardzo dumni.

Czego ciekawym przykładem jest artykuł „naukowy” polskiego misjonarza w Urugwaju Jarosława Tomaszewskiego, który ukazał się w zeszłym roku.

Tomaszewski tłumaczy: „Pielgrzymując do Chile, Jan Paweł II zarówno swoją przejrzystą postawą, jak też czytelnym przesłaniem udowodnił, że Kościół katolicki może wznieść się ponad konflikty polityczno-ideologiczne. W Chile wspólnota katolicka (biskupów, kapłanów oraz świeckich) zawsze była obecna tam, gdzie należało solidarnie bronić praw człowieka. Wizyta apostolska Jana Pawła II w Chile była potwierdzeniem i zwieńczeniem tych wysiłków”.

Tomaszewski nazywa Pinocheta „dyktatorem”, który „słynął z okrucieństw”, ale zarazem „oficjalnie przyznawał się do wiary katolickiej, był nawet praktykującym katolikiem, uczestniczył w życiu sakramentalnym i utrzymywał katolickiego kapłana w swoim domu”. Polski misjonarz, co znamienne, nie wspomina, kto dawał sakramenty zbrodniarzowi i pozwolił na posługę kapłańską w domu człowieka, który krwawo obalił legalne rządy.

JP2 odwiedził dziewięć miast, spotykał się z przedstawicielami władz państwowych i kościelnych, złożył wizytę w więzieniu i placówce opiekuńczej. Nie byłby sobą, gdyby nie krzewił kultu maryjnego



– uświetnił koronacje figur Matki Bożej z Punta Arenas i z Maipú.

Tomaszewski mnie rozbawił, pisząc, że Kościół nie opowiadał się po żadnej stronie zażartego sporu politycznego, „ale po stronie obiektywnych wartości, które tak samo chronią człowieka, jak przyczyniają się do uwiarygodnienia ewangelicznego przekazu”.

Misjonarz pochwalił mądrość Wojtyły, który potrafił „stawić czoła dyktatorowi”. W necie każdy może znaleźć bez trudu sporo fot papieża i dyktatora. Wojtyła i Pinochet są na nich często uśmiechnięci, zrelaksowani, wręcz kumpelscy.

Czy uradowany Pinochet dzięki JP2 przeszedł wewnętrzną i moralną przemianę? Nie ma cienia przesłanki, by w tę bajeczkę uwierzyć.

Rozstrzygnięcie kryterium uliczne?

Totalne lanie, jakie populistyczna prawicowa ekstrema sprawiła lewicy w wyborach do ciała, które uchwali nową konstytucję, może mieć dalekosiężne konsekwencje. Choć Pinochet nie żyje, jego spuścizna – skrajnie podzielone społeczeństwo, ogromne obszary nawet nie ubóstwa, a nędzy, szokujące nierówności ekonomiczne i socjalne – ma się, niestety, bardzo dobrze.

Jeśli Republicanos dopną swego i osiągną coś, co wydawało się jeszcze niedawno niemożliwe – przygotują konstytucję jeszcze gorszą od Pinochetowskiej – zapewne wkurwieni Chilijczycy wyjdą na ulice. Kościół w tym kraju pewnie będzie mówił o cnocie umiaru, ale zakulisowo zadba o swoje interesy ekonomiczne, polityczne i ideologiczne. Ma w tym wszak wielowiekowe doświadczenie...

KATARZYNA KOENIG



Pomoc papy dla satrapy

Kiedy pod koniec 1999 r. starzejący się był dyktator Chile został zatrzymany w Anglii i pojawił się cień nadziei, że odpowie za swoje czyny, JP2 zadbał o swego latynoamerykańskiego kumpła. Jak pisze Mark Ensalaco w tekście o bezkarności Pinocheta („Pinochet: A Study in Impunity”), Watykan w listopadzie 1999 r. wysłał list do rządu

brytyjskiego, apelując w nim, aby generał spokojnie wrócił do Chile.

Autorem tajnego listu – choć ujawnionego przez brytyjskich miłośników Pinocheta – był przyboczny Wojtyły, nader mroczna postać, a mianowicie kardynał Sodano. Wypomniano mu, że był nuncjuszem papieskim w Santiago i uchodził za osobę dość przyjazną wobec zamordyzmu w epoce dyktatury. Watykan pokrętnie tłumaczył się opinii publicznej z listu, twierdząc, że działa na rzecz „pojedna-

nia”: „Stolica Apostolska wspiera pojednanie narodowe wszędzie, w tym w Chile”.

W listopadzie 2000 r. katolicki abeque Santiago celebrował „liturgie pojednania” i „liturgie przebaczenia”. Watykan wysłał na tę mszę swego przedstawiciela, który publicznie mówił, że w Chile „spotkał ludzi z historyczną wolą pojednania”. Jak podkreśla Ensalaco, ekipa Wojtyły „stała się potężnym geopolitycznym sojusznikiem tych, którzy starali się utrzymać bezkarność Pinocheta”.

Pejsami po łapkach

Komu Nobel pokojowy, komu, bo idę do domu.

Świat stanął przed kolejnym nie-szczęściem. Ledwo ludziom obmierzła wojna rusko-ukraińska, a trzeba zająć się palestyńsko-izraelską. Nim jednak uparcie odporny na apele o miłość, rozsądek i przyzwoitość konflikt zacznie napawać opinię publiczną jedynie zobojetnieniem, wypada okazać solidarność. Ona okazała się pułapką politycznej poprawności i interesów.

Europa jak dupa, szczeliną podzielona

Izrael, kraj zarządzany (z pozoru) przyzwoiciej niż królestwo niebieskie, został najechany przez zmuszonych latami okazywać wdzięczność za doznane urazy palestyńskich bojowników Hamasu. Jedno z najlepiej uzbrojonych państw świata (choć rodzą się dzisiaj co do tego wątpliwości) zostało zaatakowane przez kraj wielkości i rangi pchły na arenie międzynarodowej. I w odwecie przeciwko tej pchle ustawiło wszystkie działa. To mogłoby być paradne, gdyby nie było tragiczne.

Oklepany, zdawałoby się, schemat działania uruchomił swe tryby: agresja zrodziła ofiary, rozlało się oburzenie. Momentalnie wyparowały wszelkie jałowe odruchy akceptacji wobec istnienia samej Palestyny, o jej mieszkaniach nie wspominając. Lata izraelskiego apartheidu, systemu okrutnej dominacji określanego przez Amnesty International zbrodnią przeciwko ludzkości, zostały tam, gdzie nie sięga żadna jurysdykcja ani troska – za murem w Strefie Gazy. Palestyniczcy, dając dowód nadzwyczajnej odporności ludzkiej natury przez wieloletnie przyjmowanie krzywd, zostali kolejny raz obrzuceni gównem i bombami.

W geście solidarności z Izraelem przed wejściem do budynku Senatu Rzeczypospolitej stanęła izraelska flaga. Katowicki Spodek rozświetlił się na niebiesko, chuj z tym, że przypominał gazowy palnik.

Atak Hamasu na Izrael potępiła cała Unia Europejska: biało-niebieskie barwy i gwiazda Dawida rozświetliły Bra-

mę Brandenburską, wieżę Eiffa i siedzibę Komisji Europejskiej w Brukseli.

A jednak na monolocie proizraelskich sympatii pojawiła się rysa. Komisarz Unii Europejskiej ds. polityki sąsiedztwa i rozszerzenia tak bardzo zagalopował się z tubylczą komitową, że ogłosił zerwanie unijnych relacji z władzami Autonomii Palestyńskiej i zamrożenie funduszy pomocowych dla niej – mowa o 691 mln euro przeznaczonych na programy rozwojowe. Sprawę prędko wyprostował Hiszpan Josep Borrell, szef unijnej dyplomacji, który wyjaśnił, że Komisja nie planuje zawieszenia płatności, ponieważ „ukaranie całego narodu palestyńskiego zaszkodziłoby interesom UE w regionie i jeszcze bardziej osłabiłoby terrorystów”. Ach, ta damoklesowa groźba przyzwoitości... W podobnym tonie wypowiedział się odpowiedzialny za zarządzanie kryzysowe komisarz UE Janez Lenarčič, który choć potępił atak Hamasu, zadeklarował, że pomoc humanitarna dla potrzebujących Palestyńczyków będzie kontynuowana tak długo, jak będzie potrzebna.

Ci go kijem, tamci pałką

Irlandia, Luksemburg, Dania, Francja i Słowenia, z której pochodzi Lenarčič, należą do propalestyńskiego kręgu w UE. Podobnie jak Hiszpania, która pierwsza przekonała się, czym pachnie żydowski afront. Fakt, że hiszpańskie władze dalej chcą wspierać Palestynę, doprowadził środowiska proizraelskie do wkurwu. Jak ustaliła „La Gaceta”, domagają się one zdymisjonowania przez premiera Hiszpanii Pedra Sáncheza minister pracy i gospodarki społecznej Yolandy Díaz, która nie tylko opowiada się za kontynuowaniem pomocy finansowej dla Palestyńczyków, ale ich werbalnie popie-

ra. Jak spekulują madryckie media, gabinet Sáncheza na wszelki wypadek tymczasowo zablokował publiczne wystąpienia Díaz.

Nawet Niemcy, które obok Austrii i Węgier stoją bezwarunkowo po stronie Izraela, nie są gotowe do całkowitego zerwania stosunków z Palestyną. Trudno się dziwić, że zachodni sąsiedzi, mając na uwadze procent ludności arabskiego pochodzenia i bezpieczeństwo wewnętrzne kraju, zachowują przytomność umysłu. Nawiąsem mówiąc, kanclerz Olaf Scholz jest w –

delikatnie mówiąc – nieprzyjemnym położeniu. Gdy w zeszłym roku na wspólnej konferencji prasowej palestyński prezydent Mahmud Abbas oskarżył Izrael o dokonanie wielokrotnych „holokaustów” na Palestynczykach, niemiecki kanclerz stał i niezręcznie milczał. Dopiero później zdystansował się wobec relatywizującej Holokaust wypowiedzi Abbasa jako „nie do zniesienia i nie do przyjęcia”. Głupio wyszło. Może dlatego, kiedy przez Niemcy przetoczyła się fala propalestyńskich demonstracji, burknął pod nosem, że rząd nie akceptuje celebracji obrzydliwych ataków na Izrael, jednocześnie nie proponując żadnych radykalnych (żeby nie powiedzieć ostatecznych) rozwiązań w tej kwestii.

Żebyśmy się zrozumieli, żadne z tych państw nie popiera dekompozycji izraelskich obywateli za pomocą bomb, karabinów czy innej formy patroszenia na żywca. One jedynie apelują o deeskalację konfliktu. Ta zaś przez Izrael i przychylnie mu środowiska tożsama jest z ustawieniem obu stron na pierdalanki na równi. I chociaż Izrael w odwecie za atak postanowił zetrzeć Strefę Gazy wraz z zamieszkującą ją ludnością z powierzchni globu, a przez organizację Human Rights Watch został oskarżony o użycie amunicji zawierającej biały fosfor na wspomnianym terenie, to żydowskie władze uznają się za słabszą i bardziej pokrzywdzoną stronę konfliktu.

Wobec powyższego nawoływanie do deeskalacji Izrael traktuje jak potwarz. Absurd sięgnął zenitu.

Prezydent Chorwacji Zoran Milanović zupełnie się w tańcu nie pierdolił i stwierdził, że prawo do samobrony, które Izrael bezapelacyjnie posiada, nie daje mu prawa do zemsty ani masakr ludności cywilnej. Tym samym uznał, że po atakach na cywilów w Strefie Gazy w jego kraju nie ma miejsca dla izraelskiej flagi. Niestety Chorwacja jest słabym graczem, więc wszyscy mają ją w dupie.



rys. MARCIN CHUDZIK

**ETYKA
BEZBOŻNA**

Żyd krwawy, Żyd skrwawiony

Nie ma etycznej wojny. Choćbyś się bronił przed okrutnym najeźdźcą, choćbyś się starał ze wszystkich sił, aby zabić jak najmniej ludzi, to zawsze zabijasz. To tragiczny paradoks wojny, że czyni wszystkich – nie tylko agresorów – zbrodniarzami. Nie ma zapewne bardziej przewrotnej krzywdy, jaką można uczynić innym, jak właśnie to: zrobić z nich zbrodniarzy. Właśnie dlatego, jakby dla przeciwwagi, ci, co zabijają, czczeni są jako bohaterzy. Nimb bohatera odwraca uwagę od widoku krwi.

Bywa jednakże i tak, że mordujący tak pewni są swej świętej racji, że chełpią się swoimi strasznymi czynami. Kowboje nieraz jeździli sobie wskroś prerii z pękiem wysuszonych skalpów przypiętym do uprzęży. W naszych czasach tego rodzaju bezmyślność i dzika nienawiść spotyka się z przerażeniem opinii publicznej. Jest jednak wyjątek. Właśnie dziś jesteśmy jego świadkami.

Jak wicie, mamy nową wojnę. Być może jeszcze straszniejszą i niosącą dalej idące konsekwencje niż wojna Rosji z Ukrainą. Ta nowa wojna zaczęła się od rajdu trzech tysięcy wspieranych przez Iran, Katar i (być może) Rosję hamasowców, którzy wdarli się na terytorium Izraela z zamiarem zamordowania jak największej liczby Żydów. Udało się im osiągnąć więcej,

niż się spodziewali. Z niewiarygodnym i rzadkim nawet w tej potwornej kategorii zbrodni, jaką stanowią rzemie ludności cywilnej, bestialstwem wymordowali półtora tysiąca ludzi. Na zawsze symbolem tej zbrodni pozostanie Kfar Aza, mała wioska, w której bandyci pouncinali głowy kilkudziesięciu małym dzieciom, a ich ciała podpalili. Myliłby się jednakże ten, kto by sądził, że dla świata to nowa ukraińska Bucza. I tu się zaczyna coś niezwykle, czego dotąd nie widzieliśmy.

Otóż po raz pierwszy w dziejach sprawy na bieżąco filmowali swoje zbrodnie, relacjonując je w internecie. Posłużyli się do tego serwisem Telegram. Ludzie mogli oglądać na bieżąco w czasie rzeczywistym, jak torturowani i mordowani są członkowie ich rodzin i przyjaciele. I mordercy nie przeliczyli się w swych rachubach. Chełpienie się bestialstwem nie ściągnęło na nich gniewu światowej opinii publicznej. Bo też nie wzburzyły jej same zbrodnie. Bynajmniej. Wystarczyło, że rozpoczęły się bombardowania pozycji Hamasu w Strefie Gazy, aby można było wzruszyć ramionami nad losem pomordowanych Żydów, uznając, że widocznie nie było innego wyjścia, bo jakoś ci Palestyniczcy z „holokaustem Palestyńczyków” muszą przecież walczyć.

Zbrodnie online to pierwsza osobliwość.

Druga to

powszechny, globalny brak jakiegokolwiek, nawet udawanego współczucia dla ofiar. Nieliczne jego wyrazy giną w nieznanych dotąd rozmiarów kanonadzie hejtu, jaki spadł w ostatnich dniach na Żydów, i entuzjastycznego poparcia dla Palestyńczyków, a nawet samego Hamasu.

Wprawdzie porównywanie wojny, jaką Rosja wydała Ukrainie, z konfliktem izraelsko-palestyńskim jest absurdem, ale wyobraźcie sobie, że żołnierze ukraińscy wdzierają się na terytorium Rosji, by tam wyrznąć

półtora tysiąca cywilów „w zemście za Buczę”. Czy przez Ukrainę i świat przetoczyłby się masowe marsze radości i dziękczynienia za bohaterski czyn ukraińskich bojowników? Czy internet zapłonąłby właśnie w ten dzień nienawiścią do Rosji? To może się przydarzyć wyłącznie w odniesieniu do Żydów. Dopiero dziś widać skalę globalnej nienawiści do tego narodu. BBC wyliczyło, że nienawistnych postów na samym tylko X (Twitter) zamieszczono około pół miliarda. To w większości posty automatyczne, niemniej liczba ludzi, którzy za tym stoją, musi być gigantyczna. Nie licząc samych Żydów, którzy spontanicznie zbierają się dla wyrażenia swojej żałoby wszędzie, gdzie mieszkają (także w Warszawie), zaledwie w kilku miejscach (głównie w Ameryce Południowej) niezadowolony mieszkający poczuł potrzebę wyjścia na ulicę dla zademonstrowania solidarności z Żydami. Przyznajcie sami: sam już zwrot „solidarność z Żydami” brzmi dziwnie... Za to marszów radości i nienawiści przetoczyły się przez świat setki. We Francji było ich tyle i były tak agresywne i gorszące, że rząd poczuł się zmuszony ich zakazać. To również rzecz bez precedensu.

Bez precedensu jest jednakże coś jeszcze, o czym wie niewielu. Otóż

Raz, dwa, trzy, terrorystą jesteś ty!

Szerokim echem kontrowersji odbiło się opublikowanie antyizraelskiego oświadczenia wydanego przez koalicję grup studenckich na Uniwersytecie Harvarda. W piśmie o śmiertelnej ataki Hamasu oskarżono politykę Izraela. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Amerykańscy liderzy biznesu, wśród nich m.in. miliarder Bill Ackman, wezwali do publicznego ujawnienia nazwisk studentów powiązanych z organizacjami, które poparły oświadczenie. Rektor Harvardu Claudine Gay na nagraniu wideo oświadczyła, że „uniwersytet odrzuca terroryzm – w tym barbarzyńskie okrucieństwa popełniane przez Hamas”, i jednocześnie zaznaczyła, że „Harvard odrzuca nękanie i zastraszanie jednostek ze względu na ich przekonania” i „przywiązuje wagę do wolności wypowiedzi”. „To zaangażowanie rozciąga się nawet na poglądy, które wielu z nas uważa za niewłaściwe, a nawet oburzające. Nie karzemy ani nie nakładamy sankcji na ludzi za wyrażanie takich poglądów” – stwierdziła Gay, dodając, że nie stanowi to w żadnym wypadku poparcia dla tych poglądów.

Stanowiskiem Gay wytarł sobie buty izraelski milionier i członek zarządu uczelni Idan Ofer, który w ramach protestu zrezygnował z członkostwa w zarządzie Kennedy School of Government Uniwersytetu Harvarda.

Zupełnym przypadkiem krótko po tym incydencie nieopodal kampusu Harvardu pojawił się mobilny billboard „doxing truck”, na którym widniały nazwiska i twarze studentów rzekomo powiązanych z propalestyńskim listem.

Szalom „Playboy”

O tym, jak krucha i fasadowa jest wolność słowa, przekonała się międzynarodowa amerykańsko-libańska gwiazda filmów dla dorosłych i modelka Mia Khalifa. Postać medialna, której kunszt aktorski podziwiają miliony fanów na całym świecie, napisała w swoich mediach społecznościowych: „Jeżeli jesteś w stanie przyjrzeć się sytuacji Palestyny i nie staniesz po stronie Palestyńczyków, to znadujesz się po złej stronie apartheidu, a historia to pokaże w odpowiednim czasie”. Wpis w krótkim czasie zdobył blisko 95 tys. polubień, nie natchnął jednak sympatii ani zrozumieniem wydawców magazynu „Playboy”, który natychmiast zerwał współpracę z gwiazdą. „W »Playboyu« wspieramy

Izraelczycy, co oczywiście, bardzo się między sobą różnią poglądami. Na jednym krańcu są tacy, których stanowisko jest symetryczne do palestyńskiego. To osadnicy na Zachodnim Brzegu Jordanu, przekonani, że jest to „Ziemia Obiecana”, którą dał im sam Bóg. Dla skrajnej prawicy w Izraelu Palestyniczcy to po prostu zwykła mniejszość narodowa, która ma siedzieć cicho albo spadać na drzewo. Kilkanaście procent Izraelczyków myśli w taki mniej więcej sposób. Na drugim końcu jest inne kilkanaście procent lewicowych Izraelczyków, którzy demonstrować empatię i solidarność z Palestynczykami, zwalczając wszelką ich dyskryminację przez rząd Izraela, wspierając powstanie wolnego państwa palestyńskiego lub pełną inkluzję narodu palestyńskiego w obręb Izraela jako równoprawnych obywateli i gospodarzy tego państwa. I to właśnie tacy przyjaciele i sojusznicy Palestyńczyków i ich narodowej sprawy mają chęć i odwagę zakładać kibuce w pobliżu granicy z rządzoną przez brutalnych terrorystów Gazą. Wszyscy inni by się bali, lecz nie oni. Wierzyli, że mogą żyć i pracować w nieuzbrojonych wioskach, na ogół wspólnie z przyjaciółmi Palestynczykami. Tacy hipisi idealisci. I to właśnie oni zostali zarżnięci jak barany – ku bezmiernej uciecie globalnej gawiedzi.

Nie wiem, czy kiedykolwiek ktośkolwiek doświadczył tak okrutnej i diabolicznej ironii losu, takiej straszliwej zdrady jak ci nieraz wręcz ostentacyjnie propalestyńscy rodzice pomordowanych żydowskich dzie-

wolność słowa oraz konstruktywną debatę polityczną, ale mamy zero-wą tolerancję dla mowy nienawiści. Oczekujemy, że Mia zrozumie, iż jej słowa i akcje wiążą się z konsekwencjami”, napisano, tym samym podkreślając, że zostaje wyruchanym to doznanie w pewnym sensie polityczne, a przez to uniwersalne. Khalifa nie pozostała dłużna i odpisała, że bardziej niż utrata możliwości biznesowych za wspieranie Palestyny martwi ją fakt, że nie sprawdziła wcześniej, czy wchodzi w interesy z syjonistami. Szach-mat.

Wśród gwiazd modelingu (nie porno), które otwarcie popierają dążenia Palestyny do niepodległości, znalazły się również siostry Gigi i Bella Hadid. Bella przez swoje wieloletnie zaangażowanie w działania na rzecz wolnej Palestyny straciła kontrakty biznesowe z całą rzeszą marek i na pewien okres wycofała się z życia publicznego. Jej siostra na razie ograniczyła możliwość dodawania komentarzy na swoich profilach w social mediach. Trudno się dziwić, bo w ludziach drzemią pokłady gówna gorsze niż w stajni Augiasza. Palestynę poparły również piosenkarki Seleny Gomez i Dua Lipa, co pozwala przypuszczać, że i one wkrótce zmierzają się z wizerunkowym ostracyzmem.

Nadlatuje demokracja

Obszerny raport „Izraelski apartheid wobec Palestyńczyków: okrutny system dominacji i zbrodnia przeciwko ludzkości” opisuje, jak masowe przejścia palestyńskiej ziemi i własności, bezprawne zabójstwa, przymusowe przesiedlenia, drastyczne ograniczenia w przemieszczaniu się oraz odmawianie Palestyńczykom obywatelstwa czy uznania narodowości układają się w system, który w świetle prawa międzynarodowego jest równoznaczny z apartheidem. System ten jest utrzymywany przy pomocy naruszeń, które Amnesty International uznawa za apartheid spełniający przesłanki zbrodni przeciwko ludzkości zdefiniowanej w Międzynarodowej konwencji ONZ o zwalczaniu i karaniu zbrodni apartheidu oraz statucie rzymskim Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Świat znękany upublicznieniem wyboru podziwia przyzwoitość i pogarda śmiercią, wciąż z kalkulatorem w rękę.

IDALIA DUBICKA

ci. Widziałem na filmie płaczącego ojca, dziękującego Bogu za to, że jego kilkuletnia córka została zamordowana natychmiast i nie czekała długo na swoją kolej ani nie była torturowana jak inne dzieci. Nie wiem, czy jego przyjaźń z Palestyńczykami przetrwa tę próbę. Wątpliwe. A przecież wyłącznie w Izraelu mieszkają ludzie – do niedawna były ich miliony! – gotowi oddać znaczną część terytorium swojego państwa, aby mogła powstać tam niepodległa Palestyna. W innych krajach zamieszkanym przez Palestyńczyków, takich jak Jordania, Syria i Liban, ze świecą takich szukać. Teraz w Izraelu też ich pewnie zabraknie.

Kilka razy wydawało się, że pokój jest już blisko... Jednak tym razem życie nas zawiodło, a izraelski hymn pt. „Nadzieja” brzmi jak smutna kpina. Dla wrogów Żydów na całym świecie mam jednakże wspaniałą wiadomość: z całą pewnością w czasie rozpoczynającej się wojny Żydzi popełnią wiele zbrodni, którymi przez wiele lat będziecie mogli karmić swą nienawiść.

...

Ten felieton poświęcam pamięci zmarłego przed rokiem Jurka Urbana, który był ocalonym z Holocaustu Żydem i przyjacielem wszystkich szczerych obrońców pokoju. Wyobraźcie sobie, co by dzisiaj czuł.

JAN HARTMAN

Atomowy zawrót głowy

Czy czeka nas nuklearna zagłada.

„Jeśli będę musiał, to użyję bomby atomowej” – przestrzegał Władimir Putin. Podkurwiło go, że wojna konwencjonalna nie idzie Federacji Rosyjskiej, tak jak by sobie tego życzył. Do wściekłości doprowadzało i doprowadza go, że kraje NATO dostarczają Ukrainie broń i dane wywiadowcze, bez których podbój tego kraju przypominałby zabranie dziecku lizaka. Dyktatorowi wtórował szef rosyjskiego MSZ, twierdząc, że jeśli pomoc Zachodu będzie trwała nadal, to ryzyko wojny nuklearnej będzie znaczne: „Niebezpieczeństwo jest poważne, realne i nie możemy go lekceważyć”.

Oczywiście pierwszą ofiarą każdej wojny jest prawda, ale lekceważenie powyższych słów byłoby bardzo nierozsądne. To byłby nie tylko błąd, lecz wręcz zbrodnia.

(Nie)realne zagrożenie

Jak w zeszłym roku pisał na łamach londyńskiego „Guardiana” prof. Daniel Immerwahr, obecnie – zarówno wśród zwykłych ludzi, jak i potężnych facetów (bo to wyłącznie męski klub), mających dostęp do czerwonych guzików, którzy mogą rozpocząć wojnę nuklearną tysiące kilometrów od swych przeciwników bunkrów – strach przed atakiem jądrowym zbladł. I jest to śmiertelnie niebezpieczne.

Trudno dziś pojąć strach, który przenikał zimnowojenny świat. Brał się on z poczucia bezsilności w obliczu nowej wszechpotężnej broni. Po II wojnie światowej np. rząd brytyjski ponuro radził swoim obywatelom: „Wybierz i ufortyfikuj pomieszczenie, w którym możesz się schronić”.

Lęk przepełniał również przywódców. Lider „wolnego świata”, prezydent USA John F. Kennedy, trzeźwo zauważył, że szaleństwem jest sytuacja, w której „dwóch mężczyzn, siedzących po przeciwnych stronach świata, może zdecydować o końcu cywilizacji”. W cieniu tego szaleństwa ludzkość egzystowała przez kilka dziesięcioleci. Nie mam natomiast pojęcia, czy akronim „wzajemnie gwarantowanej zagłady”, który po angielsku brzmiał *mad*, czyli szalony, był ukuty tylko przez przypadek, czy był świadomą i jakże gorzką ironią... I śmiertelnie poważną przestrogą.

Obecnie żyjemy w pierwszej dekadzie, gdy żaden ze światowych przywódców nie pamięta hekatombi Hiroszimy i Nagasaki. Jak ujmuje to prof. Immerwahr, „korzystając z odtajnionych dokumentów, historycy rozumieją teraz, jak blisko byliśmy wiele razy zobaczenia wyrzelandych pocisków. W tych zatrzymujących serce chwilach zrozumienie tego, co pociąga za sobą wojna nuklearna, pomogło powstrzymać klucze startowe przed przekreśleniem. To właśnie tego zrozumienia brakuje nam dzisiaj. Wkraczamy w erę broni atomowej, ale bez pamięci atomowej. Bez rozgłosu, nawet tego nie zauważając, być może straciliśmy barierę chroniącą nas przed katastrofą”.

Atomowe disco

Jak nie masz co powiedzieć, zaśpiewaj to – głosił slogan amerykańskich speców od reklamy sprzed wielu lat. Nie wiedzieli oni jednak, że, jak śpiewał Wojciech Waglewski, muzyk to wojownik: „Oko za oko, ząb za ząb. A każda nuta z siłą setek bomb”. Niejeden autor tekstów mierzył się z życiem w cieniu atomowej zagłady, pozwalając oswoić to, co przekracza granice naszej wyobraźni.

Być może najśłynniejszym kawałkiem o bombie atomowej jest numer włoskich braci Righiera (co ciekawe, po hiszpańsku), czyli gwiazd italo disco z lat 80. Ta piosenka, „Vamos a la playa”, zresztą wakacyjny hit 1983 r., to surrealistyczna zachęta do udania się na plażę. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że ową plażę dotknął wybuch bomby jądrowej. Dlatego też „wszyscy są w ka-



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

stron”, kurew „znad Renu i znad Wołgi”, które „jak zobaczą wroga na niebie, będą strzelać nie tylko do siebie”. Ponadto „atomowa śmierć czai się ze wszystkich stron”, a „nowe bomby atomowe zmniejszą Ziemię o połowę”.

A przecież, jak dowiódł kultowy kawałek Dead Kennedys o zabijaniu biednych („Kill the Poor”), bomba neutronowa może być, z perspektywy bogaczy, całkiem przydatna. Liberalowie powinni ją zaakceptować, wszak stanowi ucieleśnienie wydajności i postępu, bo – choć zabija ludzi – nie niszczy świętej w kapitalizmie wartości własności. Zespół ironicznie podkreśla, że jakkolwiek użycie bomby neutronowej jest zupełnie nieprzydatne na wojnie, ma sens w samych Stanach Zjednoczonych. A to z paru względów.

Po pierwsze, nie trzeba już będzie płacić podatku na socjal dla biednych.

Po drugie, w migającym świetle znikną „nieestetyczne slumsy”.

Po trzecie, zdematerializują się miliony bezrobotnych.

Po czwarte, istotnie spadną wskaźniki przestępczości.

Innymi słowy, mogą strzelać korki od szampanów, toteż bogacze powinni tańczyć, gdy bomba H zabije ten nocy biednych.

Wyobrazić sobie niewyobrażalne

Kiedy bomby spadły na Hiroszimę i Nagasaki, zaczęła się – co dostrzegł choćby Jean-Paul Sartre – nowa epoka w dziejach ludzkości, a nawet Ziemi. Po raz pierwszy w historii, celnie ujmował to francuski filozof, istnienie naszego gatunku stało się kwestią wyboru, bo człowiek ma realną możliwość samounicestwienia siebie i zamienienia naszej planety w postapokaliptyczną radioaktywną pustynię.

Moc bomb jądrowych, które są w dyspozycji militarnych potęg, wystarczyłaby, aby wysadzić Ziemię kilka razy w powietrze (to metafora, bo żadnego powietrza już by nie było). Jedynym skutecznym sposobem zapobieżenia niewyobrażalnej katastrofie jest całkowite rozbrojenie nuklearne. Wszystko inne jest – nomen omen – rosyjską ruletką.

W przypadku prymitywnych z dzisiejszej perspektywy bomb jądrowych – o mocy dużo niklejszej w porównaniu z obecnymi szatańskimi wynalazkami – miała pewien sens edukacja dzieci i dorosłych, co robić, gdy nadejdzie atak jądrowy. W skrócie: schować się pod stół i zakryć głowę, broń Boże nie wychodzić, aby się nie narażać na zabójcze promieniowanie, i czekać na ewakuację. Ale

dzisiejsza siła pocisków neutronowych jest tak ogromna, że wszelkie próby obrony przed nią przypominająby czynność tak bezna-dziejną jak czesanie grzebieniem morskich bałwanów, aby je uspokoić.

A jeżeli mnie pytacie, jak sama osobiście zareaguję na wybuch bomby atomowej w pobliżu mojego domu – rzecz jasna, jeśli nie spłonę w sekundę – to mam jasną i klarowną odpowiedź. Po prostu w milczeniu zaczę czołgać się w kierunku najbliższego cmentarza. Dlaczego? Żeby nie sięć paniki...

ZUZANNA JURCZYŃSKA
zuzanna.jurczynska.69@gmail.com

Szlak bojowy od Lenino do Okrągłego Stołu.

Berlingowcy wyklęci

12 i 13 października 1943 r. na froncie wschodnim na pograniczu Białorusi i Rosji pod miasteczkiem Lenino polska dywizja piechoty wzmocniona pułkiem czołgów i kilkoma dywizjonami artylerii – łącznie ok. 12 tys. żołnierzy – formowana od kilku miesięcy z inicjatywy Związku Patriotów Polskich, a sumptem radzieckim, stoczyła swój pierwszy bój. Oznakowała w ten sposób światu i Polsce swoje istnienie. Zapoczątkowała historię formacji wojskowej berlingowców. Wojsko to potocznie tak zwano od nazwiska dowódcy lub kościuszkowcami od imienia pierwszej dywizji. Miało być alternatywą dla polskich sił zbrojnych od jesieni 1939 r. istniejących i walczących na froncie zachodnim.

Sama bitwa miała znaczenie rutynowe. W ramach przygotowań do przyszłej wielkiej ofensywy na froncie centralnym takimi bitwami przygotowywano i sprawdzano pozycje wyjściowe. Wykonałaby to zadanie jakaś radziecka dywizja. Powierzono je polskiej z powodów politycznych. Wojskowo okazała się raczej niepowodzeniem. Zawiodły głównie dwie dywizje radzieckie, które na skrzydłach miały tę polską wspierać. Były zresztą bardzo słabe, liczyły po ok. 4 tys. żołnierzy – połowę etatowego składu. Wymagały uzupełnienia. Wynik bitwy miał jednak wpływ na przyszłe działania. Główny kierunek natarcia w operacji „Bagration” przeniesiono bardziej na północ, aby uniknąć forsowania Dniepru. Straty polskiej dywizji były znaczne: 25 proc. stanu w poległych, rannych i zaginionych. W realiach frontu wschodniego nie szokowały, chociaż świadczyły, że dywizja wciąż jeszcze nie była w pełni wyszkolona i oczywiście nieostrzelana. Służyłem w tym wojsku dwa lata, do września 1945 r., cały czas w 1. Brygadzie Pancerniej, aż do jej rozformowania po wojnie. W bitwie pod Lenino nasza brygada uczestniczyła jednym tylko pułkiem – reszta dopiero formowała się na poligonie nieopodal Riazania i dołączyła do 1. DP na froncie w styczniu 1944 r. w ramach tworzenia polskiego korpusu.

1

Dziwne to było wojsko. Niewątpliwie polskie, patriotyczne, w znacznej części pobożne. Z przekonaniem śpiewało codzienne modlitwy „Kiedy ranne wstają zorro” i „Wszystkie nasze dzienne sprawy” rano i wieczorem oraz „Rotę” Marii Konopnickiej.

W większości składało się z zesłańców i łagierników, ciężko skrzywdzonych przez państwo radzieckie, ale teraz w zdumiewająco krótkim czasie zmieniających nastawienie wobec niego. I to szczerze. Działo się tak z dwóch powodów: otrzymało od niego broń nobilitującą człowieka

w czasie wojny i stanęło na drodze powrotnej do ojczyzny. Z niewolników staliśmy się z powrotem ludźmi. Sympatią naszą cieszyła się Wanda Wasilewska zarówno dlatego, że wywodziła się z rodziny blisko zaprzyjaźnionej z Józefem Piłsudskim, jak też dlatego, że należała do twórców tej odmiany losu niedawnych zesłańców.

Dowodzili nami w większości oficerowie Armii Czerwonej. Dobierano głównie z pochodzenia Polaków, choć najczęściej już bez płynnej znajomości ojczystego języka. Większość starała się ten niedostatek nadrobić. Na ogół bardzo lojalnie traktowali to polskie wojsko. Z zasady nie kamuflowano pochodzenia tych oficerów, nie zmieniano imion i nazwisk. Nie byłoby to chyba nawet możliwe. Byli to żołnierze najczęściej z frontową przeszłością i bitewnym dorobkiem, który sobie cenili – zmieniając nazwiska, traciłby ten dorobek. W publicystyce polskiej przypisywano zmianę nazwiska dowódcy 1. Armii generałowi Stanisławowi Popławskiemu – w rzeczywistości miał nazywać się Siergiej Gorochow. Była to jednak omyłka historyka amatora. Po wojnie, jeszcze w 1945 r., prawie wszyscy oficerowie Armii Czerwonej opuścili Wojsko Polskie. Pozostało kilkunastu generałów, którzy odeszli dopiero w 1956 r. z marszałkiem Rokossowskim. Do emerytury służyło w naszym wojsku tylko dwóch: Jerzy Bordziłowski i Józef Urbanowicz.

Już w czasie wojny w tym berlingowskim wojsku szybko zwiększał się odsetek oficerów rdzennych Polaków. Kształconych w szkołach wojskowych lub awansowanych w toku wojennej służby.

Oprócz zesłańców i łagierników stosunkowo liczną grupę żołnierzy berlingowskiego wojska tworzyli byli członkowie Komunistycznej Partii Polski lub jej sympatycy. We wrześniu 1939 r. większość z nich uciekała przed Niemcami na wschód, do regionów zajmowanych przez Armię Czerwoną, a w lecie 1941 r. – w głąb ZSRR. Wielu z nich było pochodzenia żydowskiego. W wojsku w 1943 i następnym roku z tej zbiorowości rekrutowali się w większości oficerowie polityczni. Po przekroczeniu Bugu większość z nich odwołano do wojska i skierowano do cywilnej pracy państwowej i aparatu partyjnego Polskiej Partii Robotniczej. Tradycje i powiązania wojskowe utrzymywały się wśród nich tylko przez kilka lat.

2

Polskie rezerwy osobowe na terenie ZSRR były mniejsze, niż spodziewał się generał Władysław Sikorski. Latem 1941 r., już po zajęciu przez wojska niemieckie całosci dawnych polskich Kresów Wschodnich, na terenie ZSRR według meldunków Berii dla Stalina znajdowało się około 400 tys. Polaków, byłych obywateli polskich. Około 350 tys. stanowili zesłańcy oraz więźniowie amnestionowani na podstawie ugody Majski-Sikorski. Mężczyzn w wieku odpowiednim do służby wojskowej nie było więcej niż 100 tys., gdyż wśród zesłańców przeżywały kobiety z dziećmi. Połowę tej bazy rekrutacyjnej wykorzystwała formująca się wcześniej armia Andersa, która w 1942 r. ewakuowała się do Iranu. Pozostałych rezerw z trudem starczyło na sformowanie jednego korpusu złożonego z trzech dywizji piechoty i kilku brygad wyspecja-

lizowanych. Dopiero odbicie z rąk niemieckich przez Armię Czerwoną części dawniej polskich województw wschodnich pozwoliło sięgnąć do tamtejszych rezerw i sformować dodatkowe jednostki oraz przekształcić korpus w armię, która w lecie 1944 r. liczyła 70 tys. żołnierzy. Rozpoczęto też formowanie 2. Armii, która po zasileniu poborowymi z Polski lubelskiej na początku 1945 r. została skierowana na front również w sile ponad 70 tys. ludzi.

Obie te armie wzięły udział w walkach z Niemcami i stoczyły kilka znaczących bitew: 1. Armia – o przeprawę na Wiśle i Warszawę, następnie o Wał Pomorski, o Pomorze Zachodnie, a na koniec o Gdańsk i Berlin; 2. Armia zaś – o Budziszyn i Drezn oraz czeską Pragę. Obie armie przelały dużo krwi – poległo blisko 18 tys. żołnierzy (12 tys. z 1. Armii). Były to straty ludzkie znacznie wyższe niż poniesione przez polskie wojsko na froncie zachodnim. Tam największe straty w poległych poniósł II Korpus gen. Andersa – 2620 żołnierzy. Straty polskie na froncie wschodnim zbliżone były do ponoszonych w tym czasie przez Armię Czerwoną. Podobnie na froncie zachodnim nie odbiegały od alianckich. W sumie regularne wojska polskie w tej fazie wojny (1944–1945) straciły około 10 proc. stanu w poległych, a wraz z rannymi – blisko 30 proc.

3

W berlingowskim wojsku w czasie wojny, jeszcze pod koniec 1943 r., toczyła się wśród polskiej kadry oficerskiej dyskusja o roli tego wojska w wyzwolonej Polsce. Gen. Berling i jego zastępca do spraw politycznych, wywodzący się z KPP płk Włodzimierz Sokorski, optowali za modelem przypominającym dwudziestolecie międzywojenne, a więc za wiodącą rolą kombatanatów w pracy państwowej. Większość byłych komunistów opowiadała się za modelem demokratyczno-partyjnym, gdyż takie było w tym czasie oficjalne stanowisko radzieckie. Było ono oczy-

wiście motywowane tylko propagandowo, za tą retoryką demokratyczną kryła się preferencja dla dyktatury lub przynajmniej hegemonii komunistów.

Ścierały się dwie opcje autorytarne: proradziecka dyktatura kombatancka lub również proradziecka, ale partyjna. Opcję kombatancką wspierało KGB, a partyjną – KC KPZR.

Czynnik decydujący, czyli wąsaty despot, wahał się, początkowo skłaniał się ku modelowi kombatanckiemu, ale na wiosnę 1944 r. wybrał model partyjny jako pewniejszy. Do rozwoju i wzmocnienia wojska berlingowskiego też przywiązywał wagę. Na podstawie jego decyzji wyposażenie tego wojska traktowano priorytetowo, zarówno pod względem uzbrojenia, jak wyposażenia i żywienia. Stosowano normy przewidziane dla radzieckich dywizji gwardii.

4

Zawiedziony w swych ambicjach Zygmunt Berling latem 1944 r. wszczął jawny bunt przeciw kapelowcom, do niedawna oficerom jego wojska, teraz organizującym władze państwowe. W depeszy do Stalina oskarżał ich o trockizm. W konsekwencji został odwołany z dowodzenia armią i skierowany do Moskwy na studia w akademii wojskowej. Był tam traktowany z szacunkiem, ale nie dopuszczano go do spraw polskich. Nurt kombatancki nie zanikł jednak, tylko jego sztafardę przejęli partyzanci z propepeerowskiej Armii Ludowej – personalnie Mieczysław Moczar. Odpowiadało to duchowi epoki: oficerom Armii Krajowej, także Batalionów Chłopskich i Narodowych Sił Zbrojnych pospół marzyły się dyktatorskie rządy kombatanckie nastawione nacjonalistycznie.

Berlingowcy znaczniejszej roli w pracy cywilnej nie odgrywali, wielu zostało osadnikami na ziemiach zachodnich. Nieco większe wpływy zachowali ci, którzy pozostali w wojsku, zwłaszcza po październiku 1956 r., gdy otworzyła się droga szybszych awansów dla wypełnienia miejsca po

odchodzących wraz z Rokossowskim generałach radzieckich.

5

Ludowe Wojsko Polskie pozostało jednak pod pewnym względem nadal berlingowskie. Pielęgnowało tradycje 1. Armii, dowodzone było przez wywodzących się z niej generałów. Przez samo swoje istnienie i nastawienie było oparciem i zabezpieczeniem dla Polski Ludowej. Do polityki czynnej było przywoływane lub samo się włączało w czasie kryzysów w bardzo specyficzny sposób. W czerwcu 1956 r. spacyfikowało brutalnie rewoltę poznańskich robotników, a trzy miesiące później nie tylko poparło powracającego do władzy więźnia stalinizmu Władysława Gomułkę, ale gotowe było stawić opór sztywnemu i niechętnemu do interwencji dywizjom radzieckim. Domagało się też stanowczo pełnej polonizacji kadr dowodzących. W kilka dni po październikowym plenum przywracającym Gomułkę do władzy oświadczył on na naradzie wojskowego aktywu, że początkowo miał zamiar usunąć Rokossowskiego jedynie z władz partyjnych, a na stanowisku ministra obrony pozostawić. „To oczywisty Polak, a ponadto wybitny wojskowy. Ale całe wojsko domagało się jego odwołania. Wojska zmienić nie możemy, zatem musimy zmienić dowódcę” – powiedział. Te nastroje w wojsku z genezy berlingowskim z niepokojem obserwowano na Kremlu.

Kilkanaście lat temu pewien amerykański historyk uzyskał w Rosji bardzo interesujący dokument. W 1980 r., na początku kryzysu solidarnościowego, kilka dni przed porozumieniami sierpniowymi, radzieckie biuro polityczne na wniosek piątki jego członków z Michaiłem Susłowem (jednym z najbliższych współpracowników Breżniewa i gorącym zwolennikiem jego twardej polityki – red.) na czele nakazało utworzenie wojskowego zgromadzenia interwencyjnego gotowego wkroczyć do Polski w celu „ratowania jej przed kontrrewolucją”. Na początek złożonego z trzech dywizji pancernych i jednej zmechanizowanej. Uchwała ta przewidywała, że w wypadku przyłączenia się do „rebelii” jednostek wojska polskiego, zgromadzenie to zostanie powiększone do 7–8 dywizji, a w celu uzupełnienia ich stanów zezwolono na powołanie do wojska 100 tys. rezerwistów. A więc szykowano prawdziwą wojnę!

Wojsko zapoczątkowane pod Lenino największy wpływ na politykę polską wywarło w kryzysie lat 1980–1982. Jego najwybitniejszy przedstawiciel generał Wojciech Jaruzelski zgodził się stanąć u steru władzy, aby – odsuwając na bok partię przy pomocy stanu wojennego – spacyfikować zrewoltowany kraj i jednocześnie odsunąć groźbę interwencji radzieckiej.

On też po kolejnych ośmiu latach zapewnił pokojową transformację ustrojową w następstwie załamania się systemu pojałtańskiego.

6

Polska zawdzięcza tej berlingowskiej formacji wojskowej o nastawieniu nacjonalistycznym przynajmniej dwie sprawy o znaczeniu egzystencjalnym: w 1944 r. przyczyniła się do zmiany stanowiska Stalina w stronę znacznie korzystniejszego dla Polski przyrostu terytorialnego na Zachodzie kosztem Niemiec (wbrew opinii zachodnich aliantów), a w 1981 r. poprzez wprowadzenie stanu wojennego i spacyfikowanie Solidarności zapobiegła autentycznej tym razem, a nie wyimaginowanej okupacji radzieckiej. Czego nie zdołały uniknąć Węgry w 1956 r., a Czechosłowacja w 1968 r. Wcześniej czy później historia to sprawiedliwie oceni.

ANDRZEJ WERBLAN

Buszujący w koszu

Dewastują śmietniki, są waleczne i rzucają piłką.

Przyznaję, nie jestem wiernym kibicem polskiej koszykówki. Interesuję się nią dopiero wówczas, gdy Basket Liga wchodzi w fazę play-off. Teraz okazuje się, że w rozgrywkach już od ich początku rozrabiają Dzik.

Warszawska koszykówka zawsze kojarzyła mi się z drużyną Legii, choć największe jej sukcesy przypadały na lata 50. i 60. minionego stulecia. Później losy sekcji koszykówki toczyły się różnie, bywało, że spadała do niższej ligi. W minionym sezonie awansowała jednak do finału play-off, gdzie po pięknej rywalizacji przegrała z późniejszym mistrzem Śląskiem Wrocław.

Nie zapominajmy też o Polonii Warszawa, dziesięciokrotnym mistrzu Polski, grającym dziś na drugim poziomie rozgrywek. Drużyna z przedwojennymi tradycjami też radziła sobie różnie. Pamiętam jeden sezon, w którym występowała pod znakiem Polmosu, czyli państwowego monopolu spirytusowego. Czy trudno sobie wyobrazić żarty, z jakimi spotykali się działacze klubu?

Dalibóg, nigdy nie słyszałem jednak o warszawskich Dzikach. No, chyba tylko o tych żywych, które coraz liczniej nawiedzają stołeczne osiedla, ryją trawniki, straszą dzieci i chętnie przyjmują poczęstunki, jakich mieszkańcy im nie skąpią. Trudno, żebym słyszał o koszykarskich Dzikach Warszawa, to całkiem świeży projekt. Klub powstał w 2017 r. Wcześniej była to sekcja Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego w warszawskiej dzielnicy Ochota. O żadnych dzikach nie można było mówić, już prędzej o warchlakach.

Brat jego dziewczyny

MOS miał trzeciologową drużynę koszykarzy, w której występował brat dziewczyny biznesowego menedżera (m.in. był szefem Storytela) Michała Szolca. Dlatego przychodził na mecze. Podobają mu się gra młodzieżowej drużyny, zwłaszcza zapal, jaki zawodnicy wkładali w to, co robią. Oczywiście MOS zainteresowany seniorską drużyną nie był, nie taka rola MOS-ów. Seniorski sport za dużo kosztuje. A może by tak spróbować zrobić z amatorskiego klubu prawdziwą zawodową ligową drużynę? – pomyślał Szolc. Czego do tego trzeba? Forsy, ale nie tylko.

Wymyślenie marki dla klubu to najmniejszy problem. Na całym świecie królują pod tym względem zwierzęta, jeśli nie w oficjalnych nazwach, to jako przydomki. Lwy, pantery, orły, wilki, jastrzębie to główni przedstawiciele sportowej fauny. W naszej lidze żużlowej mamy koziołki, jaskółki, myszki, lwy są oczywiście także.

Michał Szolc, jak zdradził w rozmowie z „Przeglądem Sportowym”, szukał nazwy zwierzęcia powszechnego w Warszawie i padło na dziki. Pewnie, prusaki, karaluchy i ostatnio pluskwy są na pewno liczniejsze, ale nikt nie chciałby kibicować Prusakom Warszawa. Dzikie są natomiast znane nie tylko z tego, że jedzą żołędzie i dewastują trawniki oraz śmietniki. Potrafią być waleczne, zwłaszcza w obronie młodych.

Michał Szolc Ameryki zresztą nie odkrył. W Warszawie działa amatorska drużyna piłkarska Dzik, rywalizująca w swojej lidze m.in. z Orłami Podgórze. Dzikie w ogóle mają słabość do futbolu. W zeszłym roku najprawdziwszy odynec wtargnął

na boisko piłkarskie na osiedlu Generałów w Olsztynie i długo zabawał się futbolówką. Filmik z tego wydarzenia zamieszczony w internecie zaliczył blisko 100 tys. wyświetleń.

Wiecej forsy, mniej cukru

No to nazwę koszykarskiej drużyny mamy już z głowy. A co z forszą, i to niemałą w przypadku zawodowego sportu? Wśród polskich klubów, nie tylko koszykarskich, istnieje dziwny zwyczaj otaczania finansów tajemnicą. Pod tym względem działacze są równie otwarci wobec dziennikarzy jak marszałek minionej kadencji sejmu Ryszard Terlecki. Może nie pokazują im pleców jak on, ale konkretnych odpowiedzi unikają. Wiadomo, że

utrzymanie porządnej drużyny koszykarskiej musi kosztować w sezonie kilkanaście milionów złotych.

Budżet Dzików na obecny sezon jest jak najbardziej jawny i wynosi 5,3 mln zł. To bardzo mało. Tyle udało się zgromadzić od prywatnych sponsorów, bo młoda warszawska drużyna, w odróżnieniu od niektórych mocarzy, nie sięga do głębokiej kieszeni spółek skarbu państwa. Pod tym względem podobna jest do toruńskich Twardych Pierników. To także klub, który wyrósł z trzeciologowego młodzieżowego ośrodka, ale mocy nabrał, gdy trafił pod skrzydła Polskiego Cukru, zresztą pod taką nazwą przez jakiś czas występował. Później jednak nastąpiły zawirowania na linii sponsor-klub i tak powstały Twarde Pierniki, do których wyrobu nie używa się dużej ilości cukru.

Michał Szolc, co podkreśla wielu biznesmenów, pokierował młodym klubem na zasadach start-upu. Potraktował go jak nowo utworzoną organizację i poszukał dla niej właściwego modelu rozwoju. Dotyczyło to wszystkich poziomów. Od finansowania poprzez szkolenie po zatrudnianie zawodników.

Być jak Michael J.

Wiadomo, że żaden poważny klub nie utrzyma się w Basket Lidze bez amerykańskich koszykarzy. Przeciwnie dyscyplinę tę wymyślił, i to całkiem niedawno (w 1981 r.), nauczyciel wychowania fizycznego ze szkoły w Springfield James Naismith. Chodziło mu o to, aby wychowankowie mieli się czym zajmować zimą, gdy trudno było wychodzić na odkryte boiska. Zapewne nie przypuszczał, że zapoczątkował w ten sposób wielki biznes nie tylko w Stanach, ale praktycznie na całym świecie.

W Ameryce gra się w koszykówkę wszędzie. Każdy kozłujący piłkę i rzucający ją do kosza marzy tylko o jednym: trafić do NBA. Amerykańsko-kanadyjska liga jest najbogatsza na świecie, a zarobki zawodników przebijają to co w Europie, a nawet chyba w Arabii Saudyjskiej wpływa na konta zawodników. Kwoty powyżej 40 mln dol. za sezon tam nie szokują. Steph Curry za obecny sezon dostanie 48 070 014 dol. (Jak widać, nie ma tam księgowcowej księgowości, nikt nie zaślania się tajemnicą handlową). Drugi na liście płac NBA John Wall zainkasuje za ten sezon 47 345 760 dol. Koszykarz wszech czasów Michael Jordan ma na koncie ok. 1,7 mld dol. i choć dawno skończył karierę, wciąż się bogaci dzięki udziałowi w reklamach, a przede wszystkim dzięki kontraktowi z firmą Nike. Buty Air Jordan, w których grał Jordan (zespół Paris Saint-Germain wciąż gra), nadal są popularne. Jeśli ktoś w Polsce je kupi, procent od ceny również zasili puchnące konto Jordana. Tak ta umowa jest skonstruowana. Dzie-

ki niej zarobił już 1,3 mld dol.

Agent Michaela Jordana zdradził niedawno, że były koszykarz odrzucił niebywałą ofertę reklamową. Mógł zarobić 100 mln dol. za dwie godziny pracy. Prócz użyczenia swojego nazwiska i swojej podobizny jego rola miałaby polegać na wzięciu udziału w dwugodzinnej uroczystości podpisania kontraktu. Nie wiadomo, jaka to firma, zapewne było w tej propozycji coś takiego, co mogłoby narazić na szwank dobre imię Jordana. A to jego największy kapitał.

Amerykańscy chłopcy

Oczywiście niewielu amerykańskich chłopców będzie miało szansę zagrać w NBA. Jeszcze mniej zyska taką sławę jak Michael Jordan, LeBron James czy tragicznie zmarły w katastrofie śmigłowca Kobe Bryant. Inni muszą sobie szukać słabszych i biedniejszych lig, także w Europie. Popularnymi kierunkami są Włochy i Hiszpania, gdzie koszykówka stoi na wysokim poziomie, a zarobki bywają więcej niż dobre. Turcja i Grecja też z otwartymi ramionami i portfelami przyjmują dobrych amerykańskich zawodników.

Dziś menedżerów mają już chyba nawet przedszkolaki, w grupie starszaków da się wyłowić utalentowane dzieci. Każda zawodniczka i każdy zawodnik mają ludzi, którzy dbają o ich kontrakty i szukają dla nich ofert pracy. Bez tego w profesjonalnym sporcie nie da się funkcjonować. Nic dziwnego, że do naszego futbolu trafiają zawodnicy z niższych lig Portugalii czy Hiszpanii oraz wielu innych krajów. W koszykówce oczywiście najwięcej jest Amerykanów i Serbów. Zarobki może nie są nadzwyczajne, ale żyć się z nich da, można nawet coś odłożyć. Co ważne, grając w Polsce, ma się nadzieję, że wpadnie się w oko jakiemuś ważnemu menedżerowi i zjawi się okazja do występu w mocniejszych ligach, w których płacą więcej. Bywały takie przypadki.

Jaka jest różnica w zarobkach między koszykarzami ligi NBA a polskiej Basket Ligi? Najlepiej widać, porównując średnią roczną.

W NBA wszyscy koszykarze, łącznie z debiutantami, którzy na pewno zaniżają statystykę, dostają 8,25 mln dol. rocznie, w Polsce ok. 50 tys. euro, a do nas debiutantów raczej się nie zaprasza.

Po awansie do Basket Ligi Dzikie Warszawa musiały zakontraktować amerykańskich graczy. Wielkich kwot do zaoferowania nie miały, o gwiazdach nie było co marzyć. Skromnymi zasobami, jakimi dysponowali trener Krzysztof Szablowski i prezes Michał Szolc, trzeba było gospodarować z głową. Najważniejsze w takim momencie jest rozeznanie w środowisku.

Na oficjalnej stronie internetowej Dzików Warszawa trener Szablowski wyjaśnił, że stale korzysta z opinii skauta drużyny NBA Denver Nuggets Rafała Jucia oraz jednego z polskich trenerów klubowych, którego nazwiska nie chciał zdradzić, żeby mu nie zaszkodzić. W efekcie do Warszawy przyjechali czterej Amerykanie. Trzej bez wielkich osiągnięć. Emmanuel Little ostatni sezon spędził w Bośni, Dominic Green występował w Austrii, a Nick McGlynn w Belgii. Dopiero czwarty nabytek Dzików, Matt Coleman III, może się pochwalić występami w silnych ligach Turcji i Grecji, ale tam też nie błyszczał. Jeśli w zagranicznych portalach przeszedł się jego karierę, to widać, że ostatnim jego sukcesem było zdobycie mistrzostwa szkół średnich. Po tym, jak nie został wybrany w draftie NBA w 2021 r., zagrał w letniej lidze w barwach Sacramento Kings, ale kontrakt rozwiązano przed rozpoczęciem sezonu. U nas ma szansę zostać gwiazdą.



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Tak naprawdę największą gwiazdą Dzików jest trener Szablowski. W minionym sezonie wybrał go najlepszym szkoleniowcem 1. Ligi (drugi poziom rozgrywek). Co ważne, w plebiscycie tym uczestniczą wszyscy trenerzy pierwszoligowych drużyn. Teraz awansował z Dzikami do ekstraklasy i w pierwszych trzech spotkaniach odniósł zwycięstwa. Jednopunktowa wygrana w derbowym meczu z Legią Warszawa, która ma mistrzowskie aspiracje, w sportowym środowisku odbiła się tak głośnym echem, że musiała o niej usłyszeć nawet taka koszykarska noga jak ja. Niczego nie zmienia porażka w czwartym meczu Ligi z silnym Treflem Sopot. Cudów od beniaminka nie można wymagać.

Nie strzelajcie do lisków

Wracam do odzwierzęcych nazw klubów sportowych. Niespodziewany mistrz Anglii z sezonu 1997/1998 Leicester City powszechnie nazywany jest Lisami, nawet w herbie ma podobiznę lisa o imieniu Filbert. Czy doczekamy się drużyny lisów z Piekar Śląskich? Raczej nie. Na osiedlu Powstańców w tym mieście zdomowali się młody lisek. Garnął się do ludzi, bawił z dziećmi i, co ważne, bawił się również piłką. Przyrodnicy wyjaśnili, że najprawdopodobniej bardzo wcześnie został oddzielony od matki, a ludzie nie zdążyli mu jeszcze zrobić krzywdy. Stąd takie jego zachowanie i taka ufnosć.

Urząd Miasta w Piekarach Śląskich zwrócił się o pomoc do Koła Łowieckiego „Orlik” w Czeladzi. Tam zaproponowali najprostszą rozwiązanie sprawy: odstrzał. Na szczęście interweniowali wolontariusze i może do kary śmierci nie dojdzie. Gdyby miał na imię Filbert, kibice w Leicester oddawaliby mu hołdy. W Polsce może liczyć na darowanie życia i spędzenie kolejnych lat w jakimś przysiółku.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker, [Malgorzata Daniszewska], Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Micińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Taniewska, Marek Sanowski.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:

Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600

www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰– 17⁰⁰, (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:

Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75

www.ruch.com.pl

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1-16 – 18.10.2023 r.**

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Anżej uwielbiał późne poranki. Stawał wówczas przed lustrem i robił miny, w których był zakochany: podbródek w górę, wzrok imperatora, nos może niekoniecznie orli, raczej perkaty, łysiny prawie nie widać.

– Ja, mnie, na mnie, o mnie, o, ja! – mówi dzisiaj, modulując głos niby Marlon Brando albo Jerzy Zelnik.

Anżej zauważa, że ma poplamioną górę od piżamy, bo wczoraj wieczorem zabrał do łóżka biskop z wiśniową konfiturą.

– Misję utworzenia rządu Rzeczypospolitej powierzam tobie – mówi – albo tobie, albo tobie, albo tobie. Ale tobie nie powierzam i kropka. Robię, co chcę, bo jestem prezydentem.

Lustrzane odbicie Anżeja uśmiecha się do niego, a powłóczyście spojrzenie spod rzednących rzęs, w założeniu mające uwodzić naród, jest tandetnie minoderyjne.

– Nikt mi nie będzie mówił, co jest białe, co czarne, a czego chwytą się tonąca Ukraina – przemawia Anżej.

Z palców prawej dłoni robi zajączka i przystawia go do głowy. Śmieje się jak namalowana Jagna z „Chłopów”.

– Albo będę przeprowadzał konsultacje, albo nie – mówi fałsetem, a gdyby nie miał na sobie piżamy, lecz sukmanę jak Antek Boryna, to zatańczyłby oberka.

Anżej w lustrze nagle poważnieje, przybiera surowy wyraz twarzy i napomina niewidocznych przeciwników politycznych:

– Kierując się konstytucją, zwyczajem, obyczajem i zdrowym rozsądkiem, misję utworzenia rządu Rzeczypospolitej powierzam... Napiecie...

– ...Królikowi Bugowski!

I Anżej pęka ze śmiechu. Dźga palcem lustrze.

– Co jest, doktorku? – pyta i tłumaczy na angielski: – *What's up, doc?*

Wybuch śmiechem, odruchowo szukając pudełka z popcornem.

Nagle przypomina sobie tytuł „Zielona granica” i traci dobry humor. Robi kapryśną minę złoźnika. Chciałby zabrać zabawkę z piaskownicy, ale przecież nie jest już dzieckiem.

– Premierem zostaniesz po moim trupie! – woła Anżej do niewidzialnego Donalda Tuska.

A potem odwraca się i już siebie nie widzi. Był Anżej, nie ma Anżeja.

– Nie jesteś prezydentem, jesteś ideologią – słyszy czyjś głos.

Głosy.

PRZEMYŚLAW ĆWIKLIŃSKI



ILUSTRACJA KRZYSZTOF OLEJNIK

Wołk-Łaniewska: – Miło, że wpadłaś.

Daniszewska: – To nie ja, to twoje sumienie nieczyste.

– A niby dlaczego nieczyste?

– Tego to ja już nie wiem, to twoje sumienie. Ale musi być jakiś powód, że akurat ja ciągle do ciebie przyłażę...

– Chciałam ci opowiedzieć o twoim pogrzebie.

– W sumie gówno mnie obchodzi, po śmierci dupa nie rządzi. Ale dawaj, jak musisz.

– Był przemiły. Marta znalazła dwa twoje zdjęcia, cudne. Jedno w szlafroku z petem, a drugie w basenie, w czapce, co ci Włodek Sarna przywiózł ze Związunia. Piękna czapka, kapitana marynarki wojennej ZSRR z lat 1971–1993.

– A skąd ty to wiesz?

– Ja wszystko wiem, w końcu mnie się to śni. A tak naprawdę...

– Wiem, wiem, znalazłaś w Wikipedii jak zwykle i teraz się mądrzysz.

– A gówno! Ty myślisz, że detale radzieckich mundurów paradnych można sobie tak ot znaleźć w Wikipedii? To było znacznie bardziej skomplikowane. Chyba sobie taką czapkę kupię, jak już znowu będzie można jeździć do Rosji.

– Możesz wziąć moją, mnie się już nie przyda. No, chyba że mnie w niej pochowali...

– Spalili.

– A, prawda... No i co jeszcze się działo?

– Był ateistyczny ksiądz, bardzo pięknie o tobie mówił. Z takim namaszczeniem. Szczególnie mi się spodobało, jak z namaszczeniem bluzgał:

– I jeszcze mówił, żeśmy cię nazywali Mamusia.

„Gośka Daniszewska zawsze opierdalała Agnieszkę Wołk-Łaniewską”...

– To o tobie też mówił? Kurwa, przecież to mój pogrzeb był! Wszędzie się musisz wpierdolić?!

– Nie moja wina, że ostatnie 11 lat życia spędziłaś na gadaniu ze mną.

– Miałam nadzieję, że chociaż po śmierci będę mogła przestać. A tu gówno.

– Mój sen, moje zasady. Jeszcze ci opowiem, że Waldek wygłosił eulogie...

– Znowu się wymądrzasz? Mów po polsku!

– No takie pierdu, pierdu na twoją cześć.

– I co powiedział?

– Że na początku się ciebie bał, bo myślał, że jesteś wredna, ale potem się przekonał, że nie. – Patrz, jak się dał oszukać!

– Na początku czy potem?

– A jak myślisz?

– I jeszcze mówił, żeśmy cię nazywali Mamusia.

– Słyszałam. Urocze. Budź się już, bo mi się nudzi.

– Poczekaj, o wyborach ci jeszcze opowiem.

– No właśnie: wygraliśmy?

– Tak.

– A „my” to niby kto? Ta cała twoja lewica?

– Nie, akurat lewica dała dupy, dostała o jedną trzecią mniej głosów i o połowę mandatów mniej niż cztery lata temu.

– No to kto wygrał?

– PiS.

– Nie, no, kurwa, mówiłaś, że my.

– To skomplikowane jest...

– Nie wkurwiał mnie, jestem martwa, nie głupia, opowiedz jakoś sensownie.

– No więc PiS dostał najwięcej głosów i prezes ogłosił historyczne zwycięstwo. Druga była PO i Tusk też ogłosił zwycięstwo, bo razem z Trzecią Droga i Lewicą mają więcej niż PiS choćby z Konfederacją. Trzecia Droga ogłosiła zwycięstwo, by była trzecia, a Lewica, bo po 18 latach znowu będzie rządzić, choć tylko troszkę.

– A co ogłosiła Konfederacja?

– Klęskę.

– Oryginalnie.

– Serio. Mentzen powiedział, że mieli wywrócić stolik, ale się nie udało. Co mnie skądinąd ubawiło do łez, bo Mentzen zapewne tego nie wie, ale cytuję Cioska.

– Stanisława?

– Dokładnie. W 1989 r. Jacek Kuroń opowiadał, a ja to pamiętam, słyszałam na własne uszy na spotkaniu, bo wtedy jeszcze na spotkaniach wyborczych politycy mówili prawdę. Co za dziwna strategia... W każdym razie Kuroń opowiadał, że Ciosek powiedział opozycji tak: „My z wami gramy w karty. I gramy uczciwie, przestrzegamy zasad. Ale prezydent to ma być taki facet, który, jeśli się karty na tym stoliku źle rozłoży, to on ten stolik wywróci”. – Jaki prezydent?

– Wtedy była dyskusja o urzędzie prezydenta dla Jaruzelskiego. – Uff, bo już się bałam, że Adrian.

– Adrian na razie siedzi w pałacu i milczy.

– Byłoby dobrze, jakby mu to zostało na następne dwa lata. Przysięgę ci się od czasu do czasu, to mi opowiesz.

WOŁK

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 270



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI